

Jan Stanisław Smalewski, Bąkowo

ŚWIATEŁKO DO NIEBA

Co powiedzieć, co napisać, czym milczeć,
jak zareagować, gdy wszystkie reakcje zbędne?
Być czy nie być puzonem, trąbą czasu,
bębnem
i uderzać na oslep w struny źle napięte?!

Co poeta powinien, co w ogóle może,
gdy fala hejtu niczym martwe morze
po pustyni serc ludzkich nienawiścią sphywa?
Na barykadę wdrzeć się, czy się nie odzywać?

Pomilczeć wraz z tymi, których żal rozdziera,
noc ludzkich namiętności usypia na chwilę,
czy stanąć wbrew wirom, czy zawołać teraz:
Zamilczmy na zawsze, słowa nasze zbędne!

Jeśli plugawić ma nam ojczyste pacierze,
jeśli nawet skłócać w katolickiej wierze,
zabijać ma nas słów zdradzieckich zmowa,
zamilczmy, aż wypali się ta świeca grobowa.

Gdańsk, 14 stycznia 2019 r.

Piotr Grygiel, Pawłówek

PREZYDENT...

Gdy miłość odsączy nas złotym dukatem
I w niebo uleci czas pełen nadziei
Gdzieś w cieniu czai się diabeł zwany katem
Prezydent umiera na scenie

Jak kropla zbawienna trafiona do puszkii
Mknie srebrną mgławicą między śniegu płatki
Saniami przez iskry zło kroczy na smyczy
Prezydent umiera na scenie

I toczy zjawisko między ostre granie
Na scenie zmieszane triumf i marzenie
Wciąż depcą po piętach gdzieś ukryte cienie
Prezydent umiera na scenie

I z mroku wylania pazur swój ponury
Antychryst zrodzony demon i atrapa
W światelku do nieba widzi żer krwiopijcy
Prezydent umiera na scenie



Fot. wikimedia.org

Otwarta kurtyna jak drogi do serca
Otwarte ramiona z modlitwą u progu
Wykrajają szalenię błyskiem swego ostrza
Prezydent umiera na scenie

Zagrała orkiestra jak na Titanicu
Gdy pośrodku morza tonął pełen życia
A w tańcu tym upiór wbija sztylet głębiej
Prezydent umiera na scenie

Styczeń, 2019 r.

Andrzej Szczepanik, Bytów

MORD

Z tłumy zaprzańców wybrali tkwiącego
w fanatycznym zaślepieniu
Kupili pewnością bezkarności
za obłąkańczą przysługę
Wskazali miejsce czas i narzędzie

Żeby zabił...

Wybranego ze znienawidzonych
co się ośmielił odważyć i nie bał
rozdawać swoich myśli
Żeby osierocił
Żeby po nim płakali
i tkwili w żatobnej bezsile

Musi zabić bez wahania
Tak jak chcieli jak rozkazali
Nożem w serce
Z całej siły

Celnie
Żeby się rozpadło
Wypłynęło krwią na oczach milionów
świętujących szczęśliwych rozśpiewanych
w ogniu fajerwerkowego światła
i Owsiakowej dumy

Widzą tłum oniemiały
Bezradny w niewyobrażalnej scenarii
tańczącego mordercy

I piszą ciąg dalszy szatańskiego serialu

Anna Błachucka - „Opłotki. Obrazki z dzieciństwa”



Niezwykłymi postaciami dla dziewczynki były wioskowi odmieńcy, czyli Bzik, Józek, Fiś i Piejok. Niezwykłe były także kobiety związane z najważniejszymi wydarzeniami w życiu wsi, czyli weselami i pogrzebami: Śpiwocka i Płacznica

Wiesław Myśliwski napisał w eseju „Kres kultury chłopskiej”, że jedną z przyczyn zaniku dawnej wsi był telewizor, który wprowadził do chałupy wiejskiej inny świat. Świat miasta, ulic, kawiarni, szybszego tempa życia, nieznanych rozrywek. Telewizor wyparł z wiejskiej izby opowiadaczy, bajarzy, zwyczaj wspólnego sąsiedzkiego spędzania wieczoru; podzielił wiejską społeczność na osobne domy z migającymi ekranami. Ale był też czas, na samym początku, gdy telewizor łączył ludzi. Wielu ze starszego i średniego pokolenia pamięta czasy, gdy do gospodarza, który pierwszy we wsi kupił telewizor, przychodzili wieczorem sąsiedzi, ustawiało się krzesła i oglądało wspólnie na przykład „Czterech pancernych i psa”. We wspomnieniach przechowało się wrażenie, że „sąsiedzi, znajomi i rodzina tworzyli rodzaj wspólnoty telewizyjnej. Na czwartkową „Kobrę” ciotki piekły ciasto, inni przynosili owoce, a nawet kanapki. Co odważniejsi komentowali akcję i przewidywali zakończenie. Niektórzy tylko wydawali okrzyki przerażenia lub bezradności.”

Scena ta utkwiała w pamięci Anny Błachuckiej, autorki książki „Opłotki. Obrazki z dzieciństwa”. Urodzona w roku 1950 we wsi Kozłów w województwie świętokrzyskim, wykształcona w Kielcach, obecnie jest emerytowaną nauczycielką matematyki. Do rodzinnej wsi przyjeżdża co najmniej raz w tygodniu, mocno czując się związana nie tylko z rodziną, ale i z całą kulturą chłopską, z której wyrosła. „Opłotki. Obrazki z dzieciństwa” stanowią, wśród opublikowanych wierszy, opowiadań i powieści Błachuckiej, znak jej pamięci o dawnej wsi. W książce tej bowiem zawarte są historie prawdziwe, opowieści z życia rodzinnego i całej społeczności Kozłowa, widziane oczami dziecka, przypomniane i zapisane. Jest to wieś lat pięćdziesiątych i początku sześćdziesiątych, czas przeobrażeń cywilizacyjnych, pierwszej żarówki, pierwszego telewizora właśnie, pierwszych maszyn rolniczych. W oczach dziecka był to czas magiczny, gdy z jednego patyka można było w zabawie wyczarować całe światy. Był to też czas szczęśliwego bezpieczeństwa, bo cała wieś była miejscem do



zabawy, sąsiedzkie podwórka, pola, drogi, las, aż do zmroku, gdy matka wołała do domu.

Anna Błachucka opowiada o swojej rodzinie, o sąsiadach, o nauczycielce wiejskiej, o odmieńcach, o przedstawicielach ginących zawodów, o księdzu plebanie, o przyjezdnych dostarczycielach przeróżnych dziwów... Cały wiejski świat zapisany w dziecięcych wspomnieniach został ocalony w „Opłotkach”, i chyba już tam pozostanie. Bo przecież nikt tak już nie umie opowiadać jak bajowuj, czyli wujek Janek, który „umiał rozwinąć w wiejskiej izbie atmosferę lęku, magii, tajemnicy”. Wujek Janek był niski, drobny, jedynie jego oczy przykuwały uwagę: ruchliwe, świdrujące i przenikliwe. Bajowujowi nigdy nie zabrakło pomysłów na wieczorne bajania. „Opowieści o cudach, duchach, zjawach... W tym wujkowi nikt nie dorównał. Takie niedzielnice albo sobotnice... To tylko wujkowa fantazja wytwarzała. Tu miał pole do popisu, bo przecież zaprzeczyć nikt nie śmiał, gdyż takie sprawy wymykały się zdrowemu rozsądkowi i doświadczeniu. Kobiety rozognionym wzrokiem informowały go o tym, że już wkroczyły razem z jego opowieściami w krainę magii, tajemnicy i wróżb. Wtedy dopiero dobrze się czuł. Opowiadał... Dzieci przeganiały do drugiej izby, a jak nie było drugiej, to musiały leżeć pod pierzyną z nakrytą głową. Wujek ściszał głos, przykrywał knot lampy naftowej i fantazjował”.

Przejsie z lampy naftowej na elektryczność było dla matki, kilkuletniej Ani zdarzeniem zupełnie wyjątkowym. Pierwszą żarówkę widziała u młynarzowej; gdy „nastał zmrok, jej syn wyszedł z pokoju i zapalił jednym przekręceniem małego czarnego guziczka światło. Żadna tam lampa naftowa, smród, usmolone szkło, ale czysta i bezzapachowa żarówka. Słowa nie mogłam z siebie wydobyć. Z czego jest to światło i jak się pali? Cud. Po prostu cud!”. W całej wsi elektryczność doprowadzono dopiero w roku 1972, ale i tak w jednym gospodarstwie, u wujostwa Witów, do końca prądu nie było, bo mieszkali na uboczu i koszt instalacji okazał się za duży. Witowie mieli ośmioro dzieci, a wychowali je wzorowo. Ojciec rano rozplanowywał obowiązki polowe i w gospodarstwie dla wszystkich, bo był zdania, że „człowiek tak powinien się starać, żeby mieć w co ręce włożyć”. Matka dbała o pożywienie i czystość. Wielkie prania z płukaniem w rzece, każdej wiosny malowanie ścian chałupy wapnem, szorowanie podłóg terpentyną. W spiżarni było zapasów pod dostatkiem, bo Witowa „topiła gary smalcu ze skwarkami i cebulą, kisiła kilka beczek kapusty i ogórków, doiła krowy i przerabiała mleko. Dwa razy w tygodniu piekła chleb. Drób, króliki urozmaicały niedzielne obiady, a świnia - świąteczne”.

Przygotowywanie jedzenia, jak wspomina Anna Błachucka, było dla gospodyń polem dla robienia „z niczego coś”. Jako mała dziewczynka biegła do sklepu po 10 deko kiełbasy, a „mama robiła z tego pyszny sos do makaronu dla całej naszej, sześciuosobowej rodziny. Innym razem taka ilość wystarczała do ugotowania sagana kapuśniaku”. Co jeszcze kupowało się w sklepie? Najpierw może o tym, czego się nie kupowało - przecież „rosół nie wymagał zakupów, bo jakaś kura po podwórku zawsze się plątała, a warzywa rosły w ogródku albo znajdowały się w piwniczce”. Do sklepu szło się zatem po sól i pieprz, a na półkach leżały jeszcze „andruty, katarzynki, dropsy, landrynki, cukier, budyń, kisiel, papiero-sy, zapałki, oranżada, okresowo kiełbasa, w poście śledzie,

czasami ogórki kiszzone, cukierki na choinkę, bibuła, świeczki... W oddzielnym pudełku leżały grzebyki, szare mydło i bielidło". Słodczyce były dla dzieci nagrodą, bo gdy się czymś szczególnie w domu zasłużyły, dostawały parę groszy na „wafelek lub pół rolki dropsów”. Radość była wtedy wielka, ale i tak największym przysmakiem dziecięcym, jak wspomina autorka, był chleb ze śmietaną i cukrem.

Dzieciństwo w książce Anny Błachuckiej przedstawione jest jako czas szczęśliwy. Drobne czy większe przykrości, które oczywiście też się zdarzały, nie zaćmiły obrazu bez troski dziecka na wsi. Nawet roboty w gospodarstwie, które przydzielone były każdemu wiejskiemu dziecku, traktowane były jako coś naturalnego: „Dzieci pomagały wtedy w każdej pracy i nie czuły się wyzyskiwane, ani poniewierane. Ot! - wspólna robota, wspólne życie i wprawianie od małego do obowiązków”. A w czasie wolnym od obowiązków szkolnych, domowych i w gospodarstwie najważniejsza była zabawa. Zawsze była do niej okazja, bo, jak wspomina autorka, „dzieci nigdy się dawniej nie nudziły. Nie pamiętam takiego stanu u nikogo z moich rówieśników. Zawsze było coś do zrobienia w obejściu albo do jazdy na „bele cym”, lub niezliczona ilość pomysłów na zabawę z psem, kotem, że o przeróżnych psikusach nie wspomnę”. A gdy „zaczynał się ciepły letni deszcz, biegliliśmy na łąkę i lokowaliśmy się w szafasach. Deszcz sobie

niosło się po łąkach, jakby kto wszystkie zwierzęta ze wsi spędził na wiec. Zawiązywały się partie, sympatie i kontakty na ten jeden raz, a trwały aż do naszego zmczenia albo do wieczora. Następny deszcz niszczył wszystko”.

Magiczny świat dzieciństwa małej Ani na wsi to nie tylko pierwszy błysk żarówki, zabawy na łące czy pół rolki upragnionych dropsów w małej umorusanej rączce. Świat ten to też ojciec muzykant, babcia z tajemniczą przeszłością, wujek bazar, a także dziadek „papierz”, czyli jedyny we wsi umiejący pisać, a więc pomagający sporządzać chłopom przeróżne „papiery”. Niezwykłymi postaciami dla dziewczynki byli wioskowi odmienicy, czyli Bzik, Józek, Fiś i Piejok. Niezwykłe były także kobiety związane z najważniejszymi wydarzeniami w życiu wsi, czyli weselami i pogrzebami: Śpiwocka i Płacznica. Obie pozostały jedynie na kartach książki Anny Błachuckiej, bo ani teraz już wesel nie ma jak dawniej na wsi, ani, zwłaszcza, pogrzebów. Płacznica, żalnica, pogrzebicha... wiedziała o śmierci, zanim ktoś z rodziny do niej przyszedł. Poproszona, zaopatrzona w to co sobie zażyczyła, „przychodziła do domu i zaczynała modlitwy. Po modlitwach następowało śpiewanie pieśni długich jak tasiemiec. Nic na chybicka, wszystko powoli, dokładnie, każde słowo wyśpiewane, aż do przesydy, aż rozwlekle. Refren za każdą zwrotką. Tak, aby wszyscy mogli się włączyć do śpiewania, zrozumieć tekst, a tym samym

- godnie usłużyć. Kilkaście zwrotek, całe opowieści. I o dzieciach, i o krewnych, i o przyrodzie, i o polu, łąkach, lasach. Takie wielkie pożegnania z rodziną, z gadziną, z drzewami, uprawami, ruczajami, rzekami, zagajnikami... Wszyscy śpiewali z przejęciem, jakby za zmarłą. Każda zwrotka zaczynała się od „żegnam was” albo „żegnam cię”...”. Oplakiwanie zmarłej babci autorki trwało trzy dni i trzy noce. „Sąsiadki i znajome przychodziły i odchodziły, a ona cały czas intonowała pieśni i modlitwy. W przerwie przypominała dobre uczynki babci. A było tyle do opowiedzenia i wyliczenia, że trzy dni to trwało i jeszcze czasu nie starczyło - sytuacje z wojny, z prac w polu, z głodowego przednówka, z powodzi, ze świąt, z uczestnictwa w obrzędach, przypadki z



padał, padał, a my na złość jemu chichotaliśmy, nie wiem z czego i jak długo. Wreszcie deszcz ustępował. Nam zostawiał ciepłutkie kałuże. To dopiero była zabawa! Kto kogo ochlapał, spryskał trudno było rozeznaczyć, zresztą nikt nie miał pretensji, bo nikt ich nie szukał. Na wymulonym piasku czy przyschniętym z lekka błocie odciskało się ślady stóp i dłoni. Niektórzy błoto wykorzystywali jako materiał modelarski. Lepiło się cudne zwierzęta, ale też straszdyła i „niewiadomoco”. Każdy lepił, co umiał i jak umiał. Wtykało się takim stworom gałązki jako ręce, kamyczki jako oczy, z płatków kwiatów robiło się fryzurę... No i zaczynała się zabawa. Stworkom udzielałiśmy naszych głosów, przeważnie wrzasków, pisków i najdziwniejszych okrzyków. Ryczenie, szczekanie, miauczenie i wycie

wychowywania dzieci, opieka nad starszymi, pomoc sąsiadom... Wydawało mi się, że płacznica tak ją przed Bogiem przedstawia, do Boga mówi, żeby ją ładnie pokazać. Kierowała nami i tymi, którzy przychodzili z pożegnaniem. Zastoniła lustro i zatrzymała zegar”.

Anna Błachucka zatrzymała zaś na kartach swojej książki świat, którego już nie ma. „Oplotki. Obrazki z dzieciństwa” są cennym świadectwem dawnej, choć nie aż tak odległej jeszcze wsi. Wspomnienia z dzieciństwa, opatrzone zdjęciami, dla autorki są znakiem pamięci, a dla jej bliskich i całej społeczności wiejskiej zapisanym na zawsze ich obrazem.

Jolanta Betkowska
Słupsk



Fot. Tobiasz „Anonak” Koprowski / wikipedia.org

Kazimierz Kutz - wybitny Ślązak, reżyser i polityk

Kazimierz Kutz był prawdziwym mieszkańcem Śląska - z krwi i kości wrośnięty w rzeczywistość tego regionu. Mało jest twórców tak silnie związanych emocjonalnie swoimi korzeniami, pracą oraz sukcesami z tą czarną ziemią. Całym swoim życiem - zawodowym i osobistym potwierdzał oraz dokumentował swoją przynależność do Górnego Śląskiego



Można również uznać, że K. Kutz był czołowym przedstawicielem społeczności pogranicza śląskiego, które stało na rozdrożu polskości i niemieckości. Tu wyrastał wśród ciężko pracujących górników, uczył się szacunku do ich pracy, pełnej niebezpieczeństw i ryzyka. Przeżywał wypadki kopalniane, strajki i wydarzenia, niespodziewane śmierci górników w podziemnych sztolniach i chodnikach. Były chwile żałoby, zadumy, czy radośnie obchodzone Barbórkowe święto oraz niedzielne spotkania rodzinne po mszy świętej. Takie smutki i radości wynikały ze stanu i tradycji górniczej, które w swojej twórczości uwiecznił reżyser.

Kazimierz Kutz żył i wychowywał się w środowisku górniczo-przemysłowym z bogatą historią i interesującą teraźniejszością. Urodził się 16 lutego 1929 roku w katowickiej dzielnicy Szopienice. Był synem Franciszka Kuca, kolejarza i powstańca śląskiego oraz Anastazji z domu Kamińskiej. Wychowany w robotniczym domu w Szopienicach, w którym matka i babka kultywowały religię katolicką, ale zarazem umożliwiały członkom rodziny poszukiwanie nieszablonych ścieżek życiowych. Kazimierz powrócił do rodzinnego nazwiska Kutz, które rodzina nosiła w XIX wieku. W 1955 roku ukończył studia na Wydziale Reżyserii łódzkiej „filmówki”. Kończąc szkołę filmową, rozpoczął współpracę z Andrzejem Wajdą. W 1954 został jego asystentem przy filmie „Pokolenie”, a w dwa lata później pracował już jako drugi reżyser na planie „Kanału”. Przeglądając jego dorobek twórczy i reżyserski można stwierdzić, że jest związany z robotniczym Śląskiem, nawiązuje do wiekowej ludowej tradycji i ciężkiej pracy Ślązaków - ich walki z naturą. Natomiast jego debiut filmowy „Krzyż Waleczny” wywołał kontrowersje i ożywioną dyskusję. Film ten został zrealizowany na podstawie trzech nowel Józefa Hena i powstał wbrew obowiązującej w tamtym czasie przyjętej konwencji w sztuce filmowej. W 1960 roku powstał kolejny film „Nikt nie woła”, który krytyka oceniła niekorzystnie. Był to wynik również cenzury, która nie akceptowała scenariusza niewydanej wówczas autorskiej opowieści

Józefa Hena o losach Polaków w ZSRR. Fabuła filmu musiała być zmieniona, ale zostały zrealizowane niezwykle plastyczne kadry - zdjęcia Jerzego Wójcika i została muzyka Wojciech Kilara, które podkreślały treść zrealizowanego obrazu. Film ten ma psychologiczny podtekst, nawiązuje do atmosfery małego, zrujnowanego miasteczka, w którym żyją osamotnieni młodzi ludzie i na przekór losowi starają się ocalić miłość i ułożyć sobie życie. Obecnie dzieło to jest oceniane jako prekursorskie w kinematografii. W następnych filmach reżyser poszukiwał własnej drogi i uważany był za tego, który w sztuce filmowej doświadcza wielu eksperymentów. Nakręcił jeszcze kilka filmów, z których na wyróżnienie zasługuje „Ktokolwiek wie.”

Był to pierwszy, trwający dwadzieścia lat okres pracy reżysera, po którym zdecydował się powrócić na Górny Śląsk. Zamieszkał w Tychach u starszego brata i rozpoczął realizację nowych wyzwań, całkowicie związanych z tematyką Górnego Śląska. Jego twórczość nabiera nowej inwencji, powstają filmy, które przeszły do historii kinematografii polskiej. To tzw. cykl trylogii śląskiej. Pierwszy film „Sól ziemi czarnej” powstał w 1970 roku na podstawie pamiętników i rodzinnych przekazów. Jest to opowieść o powstaniach śląskich i ma charakter ballady. Powstania śląskie są w nim pokazane jako droga marzeń Górnego Śląska o powrocie do Polski. Kolejny, zrealizowany dwa lata później film „Perła w koronie” kontynuuje tematykę poprzedniego. Jego akcja toczy się w latach 30. XX wieku, jest to czas wielkich strajków i bezrobocia, kiedy właściciel kopalni - Niemiec chce ją zlikwidować. Tymczasem życie całej górniczej osady jest uzależnione od jej istnienia. Film ten kontynuuje wiedzę o regionie, jego tradycyjnych wartościach - domie, rodzinie, etosie pracy. Następny - „Paciorki jednego różańca”, ostatni z cyklu dotyczy końca lat 70. XX wieku, kiedy ówczesne władze burzą domki emerytowanych górników. Na ich miejscu mają powstać bloki dla werbowanych z całej Polski nowych górników. Film ten, o dużej symbolice, z przekorą pokazuje, że „nowe przyniosło zagładę tradycyjnego stylu życia i kultywowanych przez pokolenia wartości”.

W tryptyku śląskim reżyser dał dowód swojej wizji sztuki filmowej. Tematyką tą wszedł w prowincjonalizm, folklor, tradycje, ludowy humor i odrębność kulturową, stworzył wypowiedzi o charakterze uniwersalnym. Na przykład. „Sól ziemi czarnej” zrealizował między „famiłokami i hałdami” na osiedlach Giszowiec i Nikiszowiec w Katowicach oraz na robotniczym osiedlu Lipiny i Chropaczów. Zależało mu na pieczołowitym odtworzeniu realiów, zatem podjął współpracę ze specjalistami od strojów i piosenek śląskich, a także z orkiestrami górniczymi i śląskimi zespołami ludowymi. Na potrzeby realizacji filmu przestudiował powstańcze pamiętniki, wspomnienia i gazety z epoki. W doborze obsady aktorskiej kluczowa była znajomość gwary śląskiej. Film ten został znakomicie przyjęty nie tylko przez krytykę, ale także przez innych reżyserów.

Realizacja „Perły w koronie” przebiegała podobnie. Film powstał na Śląsku w kopalni „Wieczorek” na Nikiszowcu. Zaangażowano do niego ludzi ze Śląska - aktorów, statystów i ekspertów. Najciekawsze kadry tworzą sielankowe obrazy osady górniczej, które ukazują dom, rodzinę i pracę jako podstawowe śląskie wartości. Natomiast „Paciorki jednego różańca”, nakręcone zostały w kolonii domków górniczych w Giszowcu - jest to już obraz agonii Śląska. Film przedstawia obraz starych domków górniczych, które są wypierane przez nowoczesne wieżowce. W jednym z takich domków mieszka Karol Habryka, górnik emeryt i były powstaniec śląski, który podejmuje bezskuteczną walkę o własne dziedzictwo i tożsamość.

Filmy tryptyku śląskiego zostały zrealizowane z wyczuwaniem śląskiej duszy i są bliskie opowieściom mitycznym. Ich

działalności Armii Krajowej, w końcowych kadrach jest scena zgilotynowania ks. Macha w więzieniu przy ulicy Mikołowskiej w Katowicach, w 1942 roku.

Przedsięwzięciem doniosłym i najważniejszym Kazimierza Kutza był zrealizowany film o stanie wojennym „Śmierć jak kromka chleba”. Przedstawia w nim tragedię z 16 grudnia 1981 roku w kopalni „Wujek”, polegająca na pacyfikacji kopalni. Pokazuje walkę górników w obronie przewodniczącego Solidarności, która staje się ostatecznie ofiarą krwi i jutrzeńką przyszłej wolności. Obrazom towarzyszy muzyka Wojciecha Kilara, która łączy elementy śląskiej melodii z kościelnym chorałem i przypomina widowisko pasyjne. Podsumowaniu śląskiej twórczości filmowej reżyser dał wyraz w filmie - szkicu o „Jednym z ojców Niepodległej”, Wojciechu Korfantym, jednym z jego ulubionych bohaterów.

O swoich zrealizowanych filmach K. Kutz tak mówił: - „Moje śląskie filmy to moje sny ku pokrzepieniu mego skołatanego serca i serc moich ziomeków, zrobione, aby im przypomnieć naszą przeszłość, z której należy czerpać siłę do przetrwania i zwyczajne poczucie godności”. Często wypowiedział się jako polityk (był, posłem, senatorem RP). W wywiadzie udzielonym w 2013 roku mówił o swoim ukochanym regionie: - „Mniejszość etniczna. Nie żaden naród, żadne państwo, to jest po prostu kategoria kulturowa. Ślązacy mają wszystkie cechy mniejszości etnicznej. Na przeszkodzie stoi nieznośny polonocentryzm, paskudny polski nacjonalizm, wyhodowany na rubieżach polsko-rosyjskich, na mitach niepodległościowych... Najgorsze, że w Warszawie uważa się, że nie ma problemu Śląska. Dlaczego? Bo Polska dostała Śląsk za darmo, nie szanuje go, a w dodatku nie zna i nie chce tego zmienić. To przykład okrutnego braku demokracji, za to historia wystawi państwu polskiemu rachunek. Czekam na dzień, kiedy Ślązacy będą mogli być pełnoprawnymi obywatelami w tym kraju, z pełnią praw, które im przysługują. Na razie takim ludziom jak ja pozostaje praca w postaci uprawiania chińskiej tortury - kropla po kropli drążyć tę skałę”.

Sam tak pisał o relacjach polsko-śląskich: „Ślązacy też nie wiedzą nic o sobie, bo nikt ich tego nie uczy. Uczą ich o powstaniu warszawskim, które przekazuje zupełnie inny sposób myślenia niepodległościowego. Śląsk ma odmienną historię. Najgorsze, że od wieków jesteśmy skazani na to, że będąc u siebie, nie czujemy się u siebie. Albo Ślązaków germanizowano, albo polonizowano, wmawiano im różne rzeczy i tak jest nadal. Dziś młodzi Ślązacy powinni zajmować się polityką, tworzyć swoje organizacje, walczyć o demokrację odolną, bo skończą jak Indianie w rezerwacie. Gdy w połowie XIX wieku wybuchła tu rewolucja przemysłowa, Ślązacy nadawali się tylko do tego, by być proletariatem. Sto lat później role się odwróciły, kolonia przeszła w nową rękę i tak już zostało”.

Do swoich filmów K. Kutz wprowadził problematykę plebejską, która stała się później jego specjalnością. Wyreżyserował ponad 20 filmów fabularnych, w tym 6 autorskich o Górnym Śląsku. Ma na swoim koncie około 20 spektakli teatru żywego planu, ostatnie przygotowywał w Teatrze Narodowym w Warszawie i Teatrze Starym w Krakowie. Są to „Kartoteka”, „Na czworakach”, „Spaghetti i miecz”, „Damy i Huzarzy”, oraz wiele spektakli Teatru Telewizji. W latach siedemdziesiątych był głównym reżyserem telewizyjnym w Katowicach. Założył Zespół Filmowy „Silesia”. Był internowany w grudniu 1981 roku. W 1986 wyjechał ponownie do Warszawy, nie zrywając jednak swoich związków z Górnym



fabuły osadzają się głęboko w przeszłości, w historii niewielkich społeczności i narodów, które na skutek biegu dziejów zostały zmarginalizowane. Jest to równocześnie zapis dwudziestowiecznej historii Śląska, a głównym motywem ich fabuły jest bunt - walka podejmowana przez górniczą wspólnotę, która ma doprowadzić do przeobrażenia duchowego i do odnowienia kondycji ludzkiej. Kościelna religijność jest też zaznaczona, bo świat ten podporządkowuje się wszechobecnym w życiu domowym i w pracy jej zasadom, dzięki którym otwiera się przestrzeń sakralna.

Następny film pogłębia tematykę Śląską o dzieje i wydarzenia okupacyjne. Jest to dramat według własnego scenariusza reżysera „Na straży swojej stać będę”, w którym przedstawia narodziny konspiracji zbrojnej na Górnym Śląsku na początku okupacji niemieckiej. Film ujawnia nieznane fakty z

Śląskiem. W latach 1989 - 1991 był dyrektorem ośrodka TVP Kraków. W plebiscycie Gazety Wyborczej na najwybitniejszego Ślązaka XX wieku uplasował się na pierwszym miejscu wśród żyjących. Pierwszy był Korfanty, a drugi - Ziętek. W 1997 roku uzyskał tytuł Doktora Honoris Causa Uniwersytetu Opolskiego. Był twórcą wszechstronnym, realizował się również jako pisarz, scenarzysta filmowy, publicysta i felietonista. Silną więź z własnym regionem potwierdza patronowaniem licznym instytucjom i inicjatywom kulturalnym, na przykład Festiwalowi Sztuki Reżyserskiej „Interpretacje”, Festiwalowi Filmów Kultowych, Kongresowi Kultury na Górnym Śląsku. Wspierał utworzenie samodzielnej Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach, przewodził Społecznemu Komitetowi Budowy Muzeum Śląskiego. Za swoją działalność i twórczość był wielokrotnie nagradzany i wyróżniany. Był wicemarszałkiem Senatu oraz posłem na Sejm. Trzykrotnie się żenił. Trzecią jego żoną była Iwona Świętochowska-Kutz - aktorka, która zagrała

m.in. w jego filmie z 1983 roku „Na straży swej stać będę”. Miał czwórkę dzieci: synów Gabriela i Tymoteusza oraz córki Wiktorię i Kamilę. Deklarował się jako ateista. Pod koniec życia mieszkał w Domu Opieki w Józefowie. W ostatnim czasie ciężko chorował. Zmarł w Józefowie 18 grudnia ub. roku. Urna z jego prochami została złożona na cmentarzu przy ulicy Sienkiewicza w Katowicach. Uroczystość pogrzebowa miała charakter świecki. Minister kultury i dziedzictwa narodowego Piotr Gliński, odnosząc się do śmierci Kazimierza Kutza powiedział: - „Był wybitnym reżyserem, człowiekiem bezkompromisowym i niepokornym. Na jego dzieło filmowe patrzę przez pryzmat tego, co zrobił najlepszego, przez takie filmy, jak „Śmierć jak kromka chleba” czy „Perła w koronie”. To smutny dzień dla polskiej kultury”.

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk
w.lipczynski@interia.eu

Czesław Miłosz - poeta katastroficzny i wizyjny



W PRL-u Czesław Miłosz, oficjalnie uznany za zdrajcę i renegata, został uroczyście potępiony przez Związek Literatów Polskich i takich autorów, jak m.in.: Konstanty Ildefons Gałczyński, Kazimierz Brandys, Jarosław Iwaszkiewicz, Antoni Słonimski. Do 1980 roku istniał zapis cenzorski, nie tylko zakazujący publikacji jego utworów, ale nawet wymieniania nazwiska

Czesław Miłosz - polski noblista, literat, dyplomata, wykładowca i tłumacz młodość spędził na Litwie. Debiutował w 1930 roku jako członek grupy literackiej Żagary. W czasie II wojny światowej wyemigrował do Rumunii, by powrócić do Wilna, a następnie przebywać w Warszawie i Krakowie. Po wojnie był attache kulturalnym w Paryżu, gdzie związał się ze środowiskiem emigracyjnym wokół paryskiej „Kultury” i poprosił o azyl polityczny. W 1960 zamieszkał w USA i rozpoczął pracę na tamtejszych wyższych uczelniach. Do 1980 roku był w Polsce obłożony cenzurą. Po otrzymaniu nagrody Nobla mógł odwiedzać Polskę, a definitywnie wrócił do kraju w roku 1993.

Dzieciństwo i młodość

Czesław Miłosz był synem Aleksandra i Weroniki Miłoszowej z Kunatów. Urodził się w Szetejniach 30 czerwca 1911 roku, dziedzicznym majątku matki, położonym nad Niewiażą, w powiecie kowieńskim i guberni kowieńskiej Imperium Rosyjskiego, w parafii Opitołoki, gdzie został ochrzczony w kościele Przemienienia Pańskiego. Rodzina Miłoszów, pieczętująca się herbem Lubicz, należała do starego szlacheckiego rodu. Wielkie Księstwo Litewskie, na którego dawnych terenach Miłosz się wychował, wraz ze swą wielokulturową i tolerancyjną atmosferą, wywarło decydujący wpływ na jego twórczość, a on sam często odwoływał się do wspomnień z dzieciństwa. Inspirację stanowiło dla niego zarówno spokojne życie na wsi, jak i szalone podróże z ojcem. Ogromny wpływ na twórczość poety wywarły także wydarzenia historyczne, których był świadkiem: rewolucja październikowa i

wojna polsko-bolszewicka. 19 września 1917 roku urodził się jego młodszy brat Andrzej, późniejszy reżyser dokumentalista, publicysta i tłumacz. Miłosz studiował na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie najpierw polonistykę na Wydziale



Fot. A. Pawłowski / wikipedia.org

Humanistycznym. Po krótkim czasie przeniósł się jednak na Wydział Nauk Społecznych studiować prawo. Debiutował wierszami w 1930 roku na łamach uniwersyteckiego pisma „Alma Mater Vilnensis”. Był członkiem grupy poetów Żagary i współtwórcą pisma o tej samej nazwie.

II wojna światowa

Po wybuchu II wojny światowej Cz. Miłosz udał się na południe kraju. Gdy 17 września ZSRR zaatakował Polskę, poeta znajdował się już w Rumunii. Wojska sowieckie zajęły Wilno, a potem przekazały je Litwinom. Miłosz powrócił do rodzinnego miasta, przyjmując obywatelstwo litewskie. Jednak 14 czerwca 1940 roku ZSRR wkroczyło na teren Litwy i rozpoczęła się sowiecka okupacja. Poetą bardzo wstrząsnęły te wydarzenia, co miało odzwierciedlenie w jego poezji. Opuścił Wilno i przeniósł się do okupowanej przez Niemców Warszawy, gdzie pracował jako woźny w Bibliotece Uniwersyteckiej. Uczestniczył w podziemnym życiu literackim, pod pseudonimem Jan Syruc opublikował w 1940 roku tom zatytułowany „Wiersze”. Po upadku powstania warszawskiego znalazł schronienie najpierw w Janistawicach, później w majątku Jerzego Turowicza w Goszycach. W styczniu 1945 zamieszkał w Krakowie. Brat Andrzej, przebywający w czasie okupacji w Wilnie, także czynnie działał w polskim podziemiu. W 1943 roku przemycił do Warszawy ukrytych w ciężarówce Seweryna Trossa z żoną. Czesław ich przyjął, znalazł im kryjówkę i wsparł finansowo. Pomógł także Żydówkom - Felicji Wołkomińskiej, jej siostrze i bratowej, które zbiegły z Warszawy w przededniu powstania w getcie. Trossowie zginęli w powstaniu warszawskim. Wołkomińska przeżyła i w 1957 roku wyemigrowała do Izraela. Za pomoc udzieloną rodzinie Trossów i Wołkomińskich Czesław i Andrzej Miłoszowie zostali uhonorowani 25 lipca 1989 roku przez

Instytut Jad Waszem tytułem „Sprawiedliwi Wśród Narodów Świata”.

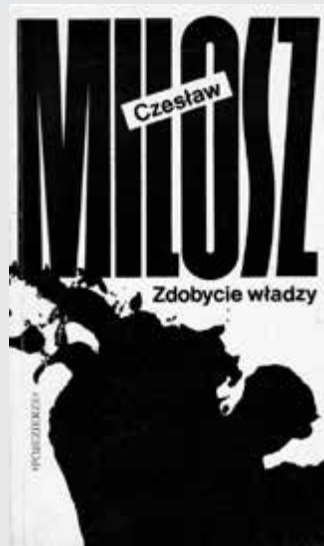
Okres powojenny

Po wojnie Czesław Miłosz podjął m.in. pracę w dyplomacji komunistycznego rządu polskiego w Stanach Zjednoczonych oraz Paryżu jako attaché kulturalny. W 1951 roku poprosił o azyl polityczny we Francji. Zdecydował się pojechać do redaktora paryskiej „Kultury”, Jerzego Giedroycia i prosił o ukrycie oraz przechowanie jego rzeczy do czasu otrzymania azylu. Obawiał się bowiem porwania

lub innej formy zemsty ze strony polskich komunistów. Mieszkał przez pewien czas w Maisons-Laffitte, co doprowadziło do jego wieloletniej współpracy z pismem Giedroycia. Było to jednak powodem skandalu w części polskiej emigracji. Przeciwno przyjęciu Miłosza do „Kultury” protestowała m.in. redakcja „Wiadomości” Mieczysława Grydzewskiego. Dwa lata później Instytut Literacki Giedroycia wydał „Zniewolony umysł” - esej skierowany do polskiej emigracji, mający wyrazić mechanizm myślenia człowieka w demokracjach ludowych. Józef Mackiewicz nazwał go w londyńskim tygodniku „Wiadomości” wielkim odpompacyjnym myśleniem emigracyjnej - jak podaje Witold Gombrowicz. W następ-

nych latach Instytut Literacki wydał większość dzieł Miłosza, a sam Jerzy Giedroyc przedstawił jego kandydaturę do Nagrody Nobla. W 1960 roku Miłosz przeprowadził się do Stanów Zjednoczonych, gdzie wykładał literaturę słowiańską na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley oraz na Harvardzie.

Za granicą tworzył głównie poezję, bardzo różnorodną, choć największe uznanie zyskały jego wier-



CZESŁAW MIŁOSZ



ZNIEWOLONY UMYŚL

Czesław Miłosz
DOLINA ISSY



sze polityczne, m.in. „Który skrzywdziłeś”.

W PRL-u, oficjalnie

uznany za zdrajcę i renegata, został uroczystie potępiony przez Związek Literatów Polskich oraz m.in.: Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, Kazimierza Brandysa, Jarostawa Iwaszkiewicza, Antoniego Słonimskiego. Do 1980 roku istniał zapis cenzorski, nie tylko zakazujący publikacji jego utworów, ale nawet wymieniający jego nazwisko. W sytuacjach koniecznych używano np. eufemizmu - autor „Ocalenia”. Pod nazwiskiem publikowano jednak dokonane przez Miłosza tłumaczenia, m.in. w antologii „Poeci języka angielskiego” (1969-1974).

Książki Miłosza były drukowane w podziemiu, przemycane z zagranicy, a dla nielicznych dostępne w działach prohibitorów bibliotek uniwersyteckich. Miłosza odrzucała również



część polskiej emigracji, zarzucająca mu początkowe poparcie dla komunistycznych przemian w Polsce i bolszewizm. Stosunek władz i środowiska emigracyjnego do poety zaczął się zmieniać po 1980 roku, kiedy poeta otrzymał literacką nagrodę Nobla za całokształt twórczości. Rok później przyjechał do kraju, gdzie jego utwory zostały już oficjalnie wydane - choć część z nich oceniano, a część mogła się nadal ukazywać tylko w wydaniach podziemnych. Stały się wtedy natchnieniem dla rozwijającej się opozycji politycznej.

W 1993 roku poeta definitywnie przeprowadził się do Polski, gdzie jako miejsce pobytu wybrał Kraków. Jak twierdził - najbardziej zbliżony do Wilna. Zmarł 14 sierpnia 2004 roku w Krakowie, przeżywszy 93 lata. Został pochowany 27 sierpnia w Krypcie Zasłużonych na Skałce.

Osobiste życie poety

Pierwszą żoną Miłosza została w 1944 roku Janina z domu Dłuska, primo voto Cękałska. Poślubiła go w styczniu w Warszawie. Po zakończeniu II wojny światowej wyjechała z nim do Stanów Zjednoczonych, gdzie mieszkała do końca życia. Po jej śmierci Miłosz napisał wiersz „Na pożegnanie mojej żony Janiny”. Mieli dwóch synów: Anthonyego, ur. w 1947 i Piotra, ur. w 1951 roku. Drugą żoną Miłosza została w 1992 roku amerykańska historyczka, Carol Thigpen-Miłosz. Poeta przeżył również i tę żonę. Inicjację seksualną przeżył w wieku 15 lub 16 lat, podczas wakacji w Krasnogrodzie z urodziwą mężatką Ireną, która nudząc się na lotnisku spędzała z nim dużo czasu, a wieczorami uczyła tańczyć tango. W okresie studiów romanował m.in. ze studentką polonistyki Klementyną Sołonowicz - później matką Daniela Olbrychskiego, Tolą, którą poznał

podczas wakacji przygotowując się do jesiennej sesji poprawkowej. Romanował również z Niką Kłosowską - starszą o dwa lata mężatką, z której powodu gospodyni wypowiedziała mu mieszkanie oraz ze studentką Wileńskiego Studium Teatralnego Ireną Górską - później matką Macieja i Damiana Damiękich.

W okresie paryskim ważną rolę w życiu poety odegrała Jeanne Hersch, obywatelka Szwajcarii polskiego pochodzenia, filozofka, później profesorka Uniwersytetu Genewskiego. Stała się dla Miłosza ważną partnerką intelektualną, z którą prowadził dysputy światopoglądowe i literackie. Zainspirowała go do napisania powieści na konkurs ogłoszony przez Europejską Fundację Kulturalną pn. „Zdobycie władzy”, którą przetłumaczyła na język francuski. Miłosz wyprowadził się z siedziby „Kultury” i zamieszkał z J. Hersch w jednym z paryskich hoteli. Zastanawiał się nawet nad porzuceniem Janki i dzieci. Burzliwy związek z zaborczą Jeanne jednak szybko uległ rozpadowi. Miłosz sprowadził żonę z dziećmi do Francji i przystał na postawione przez nią warunki. Ich wieloletni związek usankcjonował ślub kościelny w polskim kościele przy ulicy Saint Honore w Paryżu, zawarty 13 stycznia 1956 roku.

Drugą wielką miłością Miłosza była tajemnicza „Ewa”, dziennikarka z Polski, która jesienią 1979 roku w Berkeley przeprowadziła z nim serię wywiadów. Zafascynowany młodszą od siebie o 31 lat dziewczyną, zaproponował jej posadę asystentki. Owocem tego związku był wydany w 1984 roku tom „Nieobjęta ziemia”, który - jak wyznał poeta - powstał „całkowicie pod znakiem Ewy”, gdyż dzięki niej nastąpiło u niego „jakieś otwarcie na wymiar osobisty ludzkich spraw”. Konstanty Jeleński namawiał nawet przyjaciela na rozwód, ale Miłosz okazał się absolutnie niezdolny do opuszczenia schorowanej żony. Związek trwał trzy lata. Partnerka nie zgodziła się na ujawnienie swoich personaliów, choć zdaniem biografów, miłośnicy twórczości poety bez trudu zidentyfikują jej osobę. Zafascynowana jego twórczością opracowywała i redagowała zbiory wierszy poety, tłumaczyła jego utwory na język angielski i wydała o nim książkę.

Poezja Czesława Miłosza

Wiersze Czesława Miłosza są intelektualne, a metafory bardzo sugestywne. Jego twórczość z lat trzydziestych jest przesycona katastrofizm. Dominuje w niej rozmach, metaforyczność, rytmiczność, wizje apokalipsy. Wiersze pisane podczas wojny nie mają już w sobie tyle patosu. Są znacznie mniej ozdobne. Poeta stawia na komunikatywność - na zrozumiałość zawartych w wierszu treści filozoficznych i intelektualnych. Część wierszy poświęca okupowanej Warszawie, w której spędził prawie cały okres wojny. W twórczości poety przypadającej na ten okres da się również zauważyć świadome odchodzenie od tematyki wojennej. Znajdziemy wiersze opisujące zwykłe piękno świata, który - mogłoby się wydawać - nigdy nie zaznał wojny. Tak jest w wierszu „Piosenka pasterska” czy w cyklu „Świat” (poema naiwne) z 1943 roku.

Miłosz wprowadził do literatury polskiej nowy gatunek literacki - traktat poetycki, który zdaniem poety, „był wymierzony przeciwko nowoczesności rozumianej jako zawężenie i rozszerzał pojemność poezji”. W 1957 roku napisał „Traktat poetycki”, ukazujący historię poezji polskiej XX wieku. W tomie



„Druga przestrzeń” (2002 r.) znalazł się „Traktat teologiczny”, w którym Miłosz rozważa problem tajemnicy wiary. Wiele jego utworów z późnego okresu twórczości jest przykładem pisarstwa sylwicznego, komponowanego na pograniczu wypowiedzi poetyckiej, eseistycznej i prozatorskiej. Oprócz wielu tomów poezji Miłosz wydał też kilkanaście zbiorów esejów. Najgłośniejszy z nich, tłumaczony na wiele języków „Zniewolony umysł” - do dziś uważany jest za wybitną próbę naukowej analizy działania propagandy komunistycznej. Inne ważne zbiory to przede wszystkim: „Ziemia Ulro”, „Ogród nauk”, „Widzenia nad zatoką San Francisco”.

Czesław Miłosz po zerwaniu swoich związków z komunistycznymi władzami wyrażał w swej twórczości niechęć i krytykę w stosunku do PRL, piętnował polski nacjonalizm, krytykował tradycyjny polski katolicyzm - określając go ciemnogrodem. Wszystkie jego utwory objęte były w 1951 roku zapisem cenzury w Polsce i podlegały natychmiastowemu wycofaniu z bibliotek.

Poglądy

Czesław Miłosz uważał alkohol i tytoń za niebezpieczne narkotyki. Z trudem po latach odstawił tytoń, alkoholu używał umiarkowanie. Jego zdaniem, w porównaniu z nimi marihuana była środkiem dość niewinnym, a zawziętość z jaką w latach 60. XX wieku zwalczały ją władze Stanów Zjednoczonych, miała cechy obsesyjne. Psychodeliki wg. poety mogły stanowić zapowiedź masowych, demokratycznych środków przeciwko nudzie. Miłosz uważał psychodeliki za substancje o ogromnym i nieobliczalnym znaczeniu społecznym, w porównaniu z bronią jądrową i podróżami międzyplanetarnymi. Ich upowszechnienie się mogło - jego zdaniem - otworzyć nową erę ludzkości. Nie ma jednak przesłanek świadczących o tym, żeby poeta kiedykolwiek ich próbował.

Jadwiga Michalak, Naémierz

Tekst opracowany na podstawie informacji zwartych w Wikipedii.

CZESŁAW MIŁOSZ (1911-2004) - WIERSZE

MOJA WIERNA MOWO

Moja wierna mowo,
służyłem tobie.

Co noc stawiałem przed tobą miseczkę
z kolorami,
żebyś miała i brzozę i konika polnego i gila
zachowanych w mojej pamięci.

Trwało to dużo lat.

Byłaś moją ojczyzną bo zabrakło innej.
Myślałem że będziesz także pośredniczką
pomiędzy mną i dobrymi ludźmi,
choćby ich było dwudziestu, dziesięćciu,
albo nie urodzili się jeszcze.

Teraz przyznaję się do zwątpienia.

Są chwile kiedy wydaje się, że zamowałem
życie.

Bo ty jesteś mową upodlonych,
mową nierozumnych i nienawidzących
siebie bardziej może od innych narodów,
mową konfidentów,
mową pomieszanych,
chorych na własną niewinność.

Ale bez ciebie kim jestem.

Tylko szkolarzem gdzieś w odległym kraju,
a success, bez lęku i poniżeń.
No tak, kim jestem bez ciebie.
Filozofem takim jak każdy.

Rozumiem, to ma być moje wychowanie:
gloria i indywidualności odjęta,
Grzesznikowi z moralitetu
czerwony dywan podściela Wielki Chwał,
a w tym samym czasie latamia magiczna
rzuca na płótno obrazy ludzkiej i boskiej
udręki.

Moja wierna mowo,
może to jednak ja muszę ciebie ratować.
Więc będę dalej stawiać przed tobą
miseczkę z kolorami
jasnymi i czystymi jeżeli to możliwe,
bo w nieszczęściu potrzebny jakiś ład
czy piękno.

Berkeley, 1968

KTÓRY SKRZYWDZIŁEŚ

Który skrzywdziłeś człowieka prostego
Śmiechem nad krzywdą jego wybuchając,
Gromadę błaznów koło siebie mając
Na pomieszanie dobrego i złego,

Choćby przed tobą wszyscy się skłonili
Cnotę i mądrość tobie przypisując,
Złote medale na twoją cześć kując,
Radzi że jeszcze jeden dzień przeżyli,

Nie bądź bezpieczny. Poeta pamięta
Możesz go zabić - narodzi się nowy.
Spisane będą czyny i rozmowy.

Lepszy dla ciebie byłby świat zimowy
I sznur i gałąź pod ciężarem zgięta.

Washington D.C., 1950

PIOSENKA O KOŃCU ŚWIATA

W dzień końca świata
Pszczółka krąży nad kwiatem nastureji,
Rybak naprawia błyszczącą sieć.
Skaczą w morzu wesole delfiny,
Młode wróble czepiają się rynnę
I wąż ma złotą skórę, jak powinien mieć.

W dzień końca świata
Kobiety idą polem pod parasolkami,

Pijak zasypia na brzegu trawnika,
Nawołują na ulicy sprzedawcy warzywa
I łódka z żółtym żaglem do wyspy podpływa,
Dźwięk skrzypiec w powietrzu trwa
I noc gwiazdzista odmyka.
A którzy czekali błyskawic i gromów,
Są zawiedzeni.

A którzy czekali znaków i archanielskich trąb,
Nie wierzą, że staje się już.
Dopóki słońce i księżyc są w górze,
Dopóki trzmiel nawiedza róże,
Dopóki dzieci różowe się rodzą,
Nikt nie wierzy, że staje się już.

Tylko siwy staryszek, który byłby prorokiem,
Ale nie jest prorokiem, bo ma inne zajęcie,
Powiada przeważając pomidory:
Innego końca świata nie będzie,
Innego końca świata nie będzie.

PRZYPOWIEŚĆ O MAKU

Na ziarnku maku stoi mały dom,
Pieski szczekają na księżyc makowy
I nigdy jeszcze tym makowym psom,
Że jest świat większy, nie przyszło do głowy.

Ziemia to ziarnko - naprawdę nie więcej,
A inne ziarnka - planety i gwiazdy.
A choć ich będzie chyba sto tysięcy,
Domek z ogrodem może stać na każdej.

Wszystko w makówce. Mak rośnie w ogrodzie,
Dzieci biegają i mak się kotysze.
A wieczorami o księżycu wschodzie
Psy gdzieś szczekają, to głośniejsze, to ciszej.

Wiersze wybrała i dała do druku:
J. Michalak

wiersze najnowsze

Andrzej Szczepanik, Bytów

POWROTY SPÓŹNIONE

Gdybym tam wrócił wiosną zieloną
nieśmiałą i gibką
chodziłbym boso po stadach stokrotek
głaskanych wiatru radosnym podmuchem
Czekał na bżów kiście rozchowane radośnie
w skrzypcowej muzyce rozczochranej zieloności
zmoczonej nagłym deszczem
Wdychałbym mokość z kałuży mętnej
obłokami

Gdybym tam dotarł rozświetlonym latem
utonąłbym w objęciach łąkowych bukietów
Policzki skleił z żółtością kaczeńców
Usta wypełnił akacją słodyczą i marzył
jak wtedy z rękami pod głową gdy obłok
nade mną

coś zawsze przypominał
Sierpniową nocą pisałbym wiersz o miłości
niezwykłej
pełnej westchnień
a księżyc podglądał bezwstydnie przez okno

Gdyby przyjęła mnie jesień wrześnieowa
pośród szpalerów parkowych
i liści złotych co wiatrem lecą gonione
myślami
znów miałbym serce radości pełne jak
wtedy gdym
mącił stawu nieruchomość szklaną a noc
świecił latarnią księżycową
Nadstawiłbym twarz pod wiatry znajome
zapachów pełne i dymów co tkwią
obrazem w ogniskach czerwonych

Chciałbym tam wrócić dniem zimowym
skrzącym iskrami gwiazd śniegowych
najbardziej czystych
Po najbielszej bieli pędzić saniami tam
gdzie las okryty lodowym szronem
kończył się niebieskim prześwitem
rozśpiewanym pieśnią
o kimś kto po latach stu do swoich stron
powrócił

SNY ROZLEGŁE

bo moje światło już ciemniej
i szumy leśne nikłe cichsze
dzień coraz rzadziej kolorami dnieje
wieczne smutki czerni bliższe

nad rzeką brzegi trzciną dalsze
w zakolach wody wolniej płyną
dęby przy drogach coraz starsze
a moje usta suche drwiną

przybywa schodów - a były tak nisko
liczę od nowa i wciąż zaczynam
lecz coraz dalej tam gdzie było blisko
choć się ciągle nieustannie wspinam

mówią mi - słuchaj jak żurawie krzyczą
gdzieś w nieba górze rozpostarte
lecz ja jak na dnie - wypełniony ciszą
chcę przyjąć skrzydła wiatru mocą wsparte
żeby się splatać z liśćmi jak wirują
ponad tym wszystkim co odległe
niech ci co życia urok czują
w strofach odnajdą sny moje rozległe
bym został w legendzie
słowem na zszarzałej karcie
gdy czytać o mnie w zadumie ktoś będzie
z tęsknotą szczerą wiemie i uparcie

nie - nie wszystko płynie wiecznie
są gdzie przystanie gdzie w ciszy cumują
życia rozdziały ukryte bezpiecznie
zmęczone śpią lecz nadal wyczekują
aż ktoś odnajdzie i odczyta strony
spisane moją ręką drżącą
i powie że człowiek natchniony
któremu myśli z marzeniem się mącą

Grzegorz Chwieduk, Kępice

GRAŻYNA

Chwile z nią łowiłem jak najcenniejsze
skarby. Wyciągała ze mnie ukryte
możliwości. Była podobna do tego
czaru, za którym chętnie szedłem,
słodką magią wzajemnych rozmów,
spojrzeń, pocałunków, dotknięć. Miała
energiczne, niemal kocie ruchy. Bujne
loki tańczyły wokół jej twarzy jak
miękkie spiralki. Wspólnie uczyliśmy
się tęsknić. Gdy jej ojciec powiesił się
na balkonie, nie umiałem Grażynie
wyjaśnić, że pewne rzeczy po prostu
się dzieją i nie można nic zrobić, jak
tylko żyć dalej, nie szukając sensu.
Zaczęliśmy się różnić jak dzień i noc.
Wiele rzeczy się zmieniło. Ona bez
powodu wybuchła albo złością, albo
płaczem. Miałem dość tej dziewczyny,
odszedłem od niej. Nie chciałem życia
na siłę. Spotkałem swą pierwszą miłość
po latach, tuż przed świętami. Nie
złożyłem Grażynie życzeń. Ucisnąłem
ją tylko i miałem wrażenie, że trzymam
w ramionach worek kości. Stoję teraz
w oknie i patrzę na sylwestrowe
fajerwerki. Zestarzałem się o kolejne
błędy.

PORAŹKI

Wciąż nie wiesz, kim jesteś. Nie
mamy czasu dla siebie. Tyle rzeczy
pamiętanych inaczej. Bezład
serca. Wolność, która zije pustką.
Ciemność, która nas zabiera. Chłodne
dłonie. Strach przed ludźmi. Walka z

przeszłością. Czas, który nie wygładził
poszarpanej powierzchni. Wieszak
samotny i pusty. Zapłakana matka. Złe
tatuże. Skargi do Boga. Przerwana
rozmowa. Dźwięk słów niewdzięcznych
wypowiadanych przez dorosłą córkę.
Sine worki pod oczami. Idiotyczne
wybory życiowe. Jest z nami kłopot.
Piękna katastrofa.

Emilia Zimnicka, Izbica

NOC

Noc styczniowa, noc zimowa
Otułiła senną ziemię
Która w sukni aksamitnej
W bieli śniegu drzemie
Lecą z nieba złote drgania
I srebrna tęsknota
W dobrych snach
Szeptu słowach
Przyszłość jasna złota

Przycupnęła mała wioska
Pod śniegu pierzyną
W małym domu
Prośby szczerze
Pod niebiosą płyną

NIE MA JUŻ TEGO DOMU

Nie ma już tego domu
Ze strzechą słomianą
Lipę na środku też ktoś
Zniszczył
Choć pień wieczorami płakał
Z sadu wiśniowego tej gruszy przy płocie
Zostały tylko wspomnienia
Hodowane w sercu sierocym
Gdzieś spopielony torf
Nie ma starej Elzy
Która przed śmiercią wyznała
Kiedy już umrę
Dajcie mi stadko kóz
Będę pała je na niebieskiej łące
Pełnej gwiazdek mleczów
I różowych kwiatków koniczyny
Po co siedzieć bezczynnie

Katarzyna Nazanuk, Żochowo

HARMONIA

Kobieta nieuczesa
niezgrabnie karmi gołębie
zaspokojona ich wesołym gruchaniem
wychyla się zachwytem ku kolorowym liściom
które zdeптаły odważnie nóżki przedszkolaków
przebiegła już pewnie półmaraton tak
rytualnie rozpoczyna
codziennność
nie wie co to eksplozje samotności
coraz bardziej kurcząc się przywiera
podeszwami do ziemi
jednak uśmiechem całuje motyle
lubię na nią patrzeć i uczyć się pokory
która całkiem możliwe że jest ziarnem

zjadanym przez gołębie
i sytością staruszki w jej zadowoleniu
spełnienia

NIE ANTYRAMA

Serce ma czasem chwile słabości
o których mówi się delikatnie
cierpienie
nieliryczne urojenia
Nie do wsadzenia w antyramę
dla gości
Tracisz przyciąganie ziemskie
potem zwyczajnie ludzkie
w karafce smutek niespity do dna
Papierek lakmusowy alarmuje
to sprawa między waszymi sercami!
Jeśli pochowasz mnie w swoich
pragnieniach
nie będę szukać w szufladach naszej
namiętności
Zaglądać w cudze już kąty
bieliznę i płatki lawendy
Pewnie wygaszę zapachy
zaprzyjaźnione obrazy
Brokat już opadł
ale nie wszystko już było...
Chociaż krzyk się nie wykrzyczał
miłość się nie odkochuje tak szybko
i byle jak

Anna Boguszewska, Słupsk

ŚCIEŻKAMI HISTORII SŁUPSKA

Siedem wieków historii
Grodu nad Słupią
Z przydomkiem „Mały Paryż”
Z godłem „Gryf na trzech falach”
Pozostawiło trwałe ślady

Z wiekowej wieży ratuszowej
Zegar z kurantem codziennie
Gra hejnał Słupska
Dzwony kościelne
rozbrzmiewają o różnych porach

Średniowieczne mury obronne
przypominają najstarsze dzieje
Bastia Czarownic
Otworzyła się na kulturę
W Muzeum Zamkowym
Witkacy kusi akwarelą
Spichlerz zaprasza na herbatę

Zabytkowe budynki i mosty
Płyną w krzywym lustrze wody
Witki płaczącej wierzby dotykają
Wartkiego nurtu rzeki Słupi
Kaskady wody swoim szumem
Przypominają mielenie zboża sprzed wieków
Spieniony plusk wody zaprasza słupszczyzn
Do spaceru Bulwarem Popietuszeki

Na parkowej ławeczce, przy fontannie
Starsi panowie wspominają
Wyzwolenie Słupska w 1945 roku
O zbombardowanych kamienicach
Zgwałconych kobietach
Szabrownictwie i biedzie

Kalendarz kwiatowy wskazuje czas
Latem zapach lipy płynie ulicami
Dźwięczą festiwalowe nutki Chopina
Urokliwa starówka po rewitalizacji
Przypomina czasy świetności miasta

Dziś z wysokiego cokołu
Na zamkowym dziedzińcu
Książę Bogusław X
Nadal czuwa na Księstwie

Tylko księżyc i gwiazdy
Niezmienne jak przed wiekami
Wiszą nad Słupskiem

Maciej Michalski, Słupsk

PRZECHODZĄCYM PRZEZ DOLINĘ CIEMNĄ

Radujcie się w Bogu oto złota rada
radujcie się pośród ucisków i trosk
bo droga świętości to nie autostrada
żar utwardza glinę choć rozpuszcza wosk

dziękujcie za zdrowie i kolejne dni
za licznych przyjaciół albo za ich brak
w każdej łzie na końcu przecież słodycz tkwi
nie trzeba dociekać czemu właśnie tak

radujcie się w zdrowiu radujcie w chorobie
dziękuj gdyś szczęśliwy i dziękuj gdy łkasz
krzyż który tak cięży - nim trafił się tobie
przgniął twego Boga zatem... Ojczy Nasz...

kiedy ból cię dławi ludzka niegodziwość
przebaczaj błogostaw dłonią kreśląc krzyż
powróci niebawem jak najczulsza tkliwość
i wyrwie z potrzasku i uniesie wzwyż

a choćby umilkły spiżowe niebios
i Bóg poddał próbie intymną zażyłość
w ostatnim okrzyku przemieni w herosa
tego kto zachował wiekiustą miłość

SZTUCZNA INTELIGENCJA ALBO OBRAZ BESTII

Informacja w podwójnie skręconej spirali
z zapisem błękitu żrenic albo krwi
to co było lub będzie ukryte w oddali
genialny szyfrogram - w którym ja i ty

jednym podpis Stwórcy - święte drzewo życia
ukryty w komórce najprawdziwszy cud
drugim barbarzyńskie idy - amok picia
doświadczalny obiekt - bezosobny płód

na obraz potwora i na podobieństwo
mister intelektu bez moralnych norm
wiemy obraz bestii - węzowe przekleństwo
diabli antycytlowiek - rogołuski gnom

oto jak za Lota i za dni Noego
geniusz technologii - globalny Blue Bem
wirtualny pokój - rozbudzone ego
obłąkany cyborg - wyrzucony z szyn

Ziemowit Szafran, Słupsk

Z RZEKĄ CZASU

To co było
zabrała rzeka czasu
Zniknęły oceany pól
i pustych dróg przestrzenie
po których z rzadka mknął autobus
choć nieraz był wesoły
lecz częściej woził troskę
Zamknął letni szmer omłotów
Vistul szum sierpniowy
Pozostał żal jak bolesna luka
A ziemia pachnie nadal...
Tylko malarz szuka tematu
bo malwy już nie zdobią
domów ze słomianym dachem
W srebrnych etemitach
georginie nie kryją
na tynkach liszajów
Bocian gniazdo wiję
na dachówkowej kalenicy
Została pamięć
choć w kolorze sepii
Reszta kolorów już wyblakła

Ireneusz Borkowski, Słupsk

KRAINA W KRATĘ

Dom z pńskiego muru i drewnianych belek
oparta stara drewniana drabina
gliniany sagan wisi na pękniętej
sztachecie od płotu
przy bramie do zagrody stoi dziewczyna
o włosach blond z długim warkoczem
piękna uśmiechnięta zaprasza do stołu
na świeżutką pieczoną gęsinę
otoczenie i zapach wzbudzają wyobraźnię
chciałoby się tu pozostać przez chwilę
poczuć smak minionej epoki

Tomasz Mroczkowski, Słupsk

SAMSON

Przęż się, wyginam.
Prędzęj pęknie żyła.
Niż ta filistyńska lina.
Dalila błądzi wzrokiem.
Moje włosy na podłodze.
Tak płaci się za głupotę.
Panie ja jestem tu sam.
Z ust Dalili spilem naiwności jad.
Oprawcy sztyletem zdrady ukradli
moje oczy.
Ciemność przede mną kroczy.
Toczę żarna głupoty.
Odrastają moje włosy.
Muszę, muszę Boga przeprosić.
Panie ja jestem tu sam.
Z ust Dalili spilem naiwności jad.
Zapartem się z nadzieją.
Złamałem dwie kolumny.
Filistyni poszli do trumny.
Panie nie jestem już sam.
Padłem do Twoich świętych stóp.

Bożena Łazorczyk, Kobylnica

CODZIENNOŚĆ

codziennosc
dom praca dom
spacer z psem
wrzask głodnego kota
coraz częściej drzemka
rządziej
przeczytana książka
rutyna
martwe emocje
świat wbity w ramy
doskonały
potrzebuję chaosu
by nowe wiersze powstały

ZIARNO NADZIEI

codziennie z mozołem
zasiewam ziarno nadziei
z wiarą na owoc radości
uparcie raczkuję po życiu
nie przyjmując teorii starości
choć wszystko we mnie zwalnia
biegnę ciekawa
co spotkam za horyzontem
nie może tam być
już tylko koniec
wierzę że ciągle
czeka jakiś początek

Emilia Maraśkiewicz, Darłowo

WĘDROWIEC

włóczy się po drogach
los pozostawił go na łasce
mrozu i śnieżycy

strzęp człowieka
niczyj jak bezpański pies
co nie śmie żebrać

jego niepokoju
nie wzbudza samochód
który go wyprzedza

to nędzne życie
powoli opuszcza jego ciało
aby go już nie dręczyć

PRZECHADZKA

idę wąskim paskiem plaży
wiatr spleta bicz z ziaren piasku
burzy moje siwe włosy

chmury debatują z falami
statek jak wypluta pestka śliwki
i jak blada blizna po kilu

rój śniegowych płatków
przykrył promienie bursztynu
a ludzi prawie nie widać

zimny obojętny Bałtyk
nosi jakieś dziwaczne przebranie
szczurzą sierść i knucze pióra

czy morze wywyższa się
jak bez mała dwa tygodnie temu
czy milczy z innego powodu

Anna Krawczuk, Słupsk

PUDEŁKO

Mam pudełko
plastikowe niezbyt duże
a w nim spakowane
losy kilku pokoleń

na zdjęciach pięknie ubrani krewni
zastygli w poważnych pozach
i ci po chorobie głodowej
bo mieli mniej szczęścia
choć to samo nazwisko

są zdjęcia sióstr
tej co w jednej sukience uciekła
i drugiej co z matką starszą została
i nigdy już nie wyglądała jak dama

są listy z dalekiej Kołymy
na które nie było odpowiedzi
potem pewnie przestały przychodzić

jest opowieść o miłości
okupionej wykluczeniem
i przypieczętowanej śmiercią
choć ona nie musiała
razem z nim umierać

są zdjęcia braci
co zawsze
po dwóch stronach barykady
a jednak jeden za tym drugim
w ogień poszedł i uratował

są historie kobiet
co zostawiły wszystko
i nie oglądając się za siebie
zniknęły z opowieści rodzinnych

przybywa zdjęć i listów
już trochę nowszych
wyszperanych z szuflad
pudełko się nie domyła
a i tak ciągle będzie brakowało
co najmniej połowy historii

Anna Karwowska, Dobieszewko

POMINIĘTA

Gdybym była Vivaldim
stworzyłabym arie wiatru jesiennego
wiosenne koncerty ptasie
letnie brzęczenie pszczoł
i dźwięk skrzypiącego mrozu pod nogą.
Gdybym była malarką
namalowałabym swoje dzieciństwo
skromne, proste nad rzeką Wieprzą

człowieka idącego
z widłami na ramieniu
kobietę z bruzdami na twarzy
i smutnego jałowca wśród drzew
co korzenie płytko trzyma w ziemi.
Gdybym była pisarką
opisałabym dzieje
dwudziestego wieku
tych co budowali Polskę
i tych co ją sprzedawali.
Chociaż pamięć ciągle liże mi dłonie
nie mogę tego zrobić
bo Bóg nierówno
dzielił talent - mnie ominął.
Jestem tylko skromną poetką
i skrobię takie wiersze.

PRZEGRANY NARCYZ

Stanęłam na brzegu pola
wypatrując śladów stóp
pegeerowskich pracowników
nie zobaczyłam - leziesz zakrył.
Tamte obrazy już
zawieszono w przestrzeni
tylko wspomnienia jasne. Czyste
ciągle żyją w myślach.
Nie przewidziano jakie
zamiary miała władza
dzisiaj niejeden stoi
z opuszczoną głową
jak przegrany narcyz
wśród róż.

Irena Peszkin-Bobińska, Koszalin

W duchowej samotni - zmysły
zbyt przytomnie śledzą
niebezpieczne obroty spraw
Jakby Ziemia nagle
zmieniła orbitę
Zmierza tam - gdzie
skarłate sfery endemiczne
swoje chore wizje - w czyny
zmieniać usiłują
Dla bohaterów księżycowych
urojeń wciąż spragnionych
wielkości - pole do popisu
całkiem wolne od kretowisk

A gdzie człowiek myślący...
Zamilkł - jakby rezon stracił
W degrengolady kotle

ŁAGODZI OBYCZAJE

Jeszcze nie myślę Bethovena z Chopinem
- słyszę na szczęście doskonale
Wzrok też doskonały - niegdyś
ale teraz... niestety

Moje ucho wyręcza więc inne zmysły
i coraz częściej przeraża mnie
to, co słyszę niemal wszędzie -
ulica to, aleja w parku, a nawet
szkolny korytarz

Ratunkiem - terapia muzyczna
Korzystam bo zawsze dostępną
Tylko nie wiem jak sąsiedzi znoszą
muzykę poważną
Jakby nie było - powinna
Łagodzić obyczaje

Czesława Długoszek, Objazda

mojej Mamie

z dawnego życia ma tylko kota
który w wypadku stracił ogon
o zmierzchu bierze go na kolana
w mruczeniu słyszy odgłosy pól i obejścia
wzywają ją kury krowy konie owce wieprzki
próbują się podnieść bieć do obrządków

kiedy podpierając się laską dojdzie do brzegu
łóżka włącza „radziko”
stojąc powtarza żarliwe słowa koronki
chwytła się zmiłowania dla całego świata
gdzie jak w wielkiej torbie zapodziały się
dzieci i unuki

za pracowite poranki zmęczone wieczory
sobotnią radość pieczonego chleba
przyjęła z pokorą pokoik na górce
wierzyła że nim przyjdzie czas odejścia
urosną skrzydła
bez trudu wespnie się po stromych schodach

nie potrzebuje okularów aparatu słuchowego
co miałyby widzieć lub słyszeć
zrozumiały dawny świat przychodzi do niej
wieczornym apelem jasnogórskim
i tableteczką na sen obiecującą ukojenie
do rana ćwiczy sen wieczny

Teresa Nowak, Łupawa

OBOK ŻYCIA

Wciskam się w obcy świat
nie swoje drzwi otwieram,
żeby ze smutku nie oszaleć.
O poranku oczekuję na cudze życie,
obrzeżami wypełniam swoje dni,
wieczorami przeszukuję wspomnienia,
pukam w krwioobieg obumarły
z uśmiechem żebraka na ulicy.

Granica krucha od miłego gościa
do natrętnego intruza.
Jak struna dotyku palca,
czekam na słowa,
badając pod mikroskopem podejrzliwości.
Uśmiechy zbieram do kolekcji.

W pułapce

*U Fryckowskiego nie ma taniej metafizyki
ani taniego boguojęzycznego patriotyzmu.
Wybiera trudną miłość do Polski, która
go nie głaszcze i do człowieka, głównie
tego usytuowanego z dala od świecznika*

Ta pułapka u J. Fryckowskiego to czas i rzeczywistość, których autor „Stanów nagłych” nie wybierał i jego pamięć, która czasem jest skupiającą soczewką, kiedy indziej rozszepiającym pryzmatem. Przeżycia osadzone są w realiach czasu na dwóch planach - osobistym i zbiorowym. Rzeczywistość też jest tu dwojaka - wewnętrzna - ujawniana w żywych, obecnych dziś stanach emocjonalnych piszącego i zewnętrzna. Ta druga zgodnie z naturą wspomnień przebija się fragmentarycznie i w sposób nieuporządkowany, często w przywoływanych rekwizytach odsyłających czytelnika do realiów peerelowskich i stanowiących znaki czasu jak papier firmy ORWO albo krawaty z baletnicami czy klamry pasów z trzema jeźdźcami z BONANZY lub czterema pancernymi i Szarikiem. Znacznie więcej o tamtych czasach mówią środki językowe używane przez Jerzego Fryckowskiego, łączące prostotę ze znacznym stopniem entropii wskazującym na wysoką wartość jego poezji. Zobaczmy. W „Ostatniej modlitwie” prosi: „Boże, przyjdź na mój pogrzeb albo przyjdź metrem, I obyś tylko zdążył przed czarnym Maybachem.”

Jak szerokie pole informacji i interpretacji otwiera ta prośba przed czytelnikiem, jak dyskretnie sugeruje ocenę współczesnych zjawisk, jak niepostrzeżenie spleta emocje podmiotu lirycznego z aktualnymi zjawiskami społecznymi występującymi tu i teraz - to wielowymiarowy i wielofunkcyjny dwuwiersz.

I jeszcze kilka przykładów prościutkich, a jakże nośnych porównań, wydobywających to co podskórne: sylwestrowe rakiety niemieckiej straży granicznej „opadały na spadochronach powoli jak marzenia”, „twarz zmięta niczym partyjna gazeta na strajku”, „Odra robiła się czerwona jak ustrój i majowe chorągiewki”. Wszystkie wyjęte z wyróżniającego się z całości złożonego z dziesięciu części tyleż opisowego co lirycznego poematu „Słubice”. Jest to majstersztyk szlachetnej prostoty przecież niełatwej do osiągnięcia. Jest zapisem wspomnień z

dzieciństwa upływającego w Peerelu. Obraz ówczesnej szarej i zgrzebnej rzeczywistości widzianej oczami dorastającego chłopca i przedstawiony z perspektywy wspominającego po latach podmiotu lirycznego łączy po szekspirowsku tragizm z komizmem tamtych czasów. Nawet przedstawienie choroby i śmierci kolegi, który „pozwoił się pochować”, ale „kolejny odcinek Marka Piegusa” zdzięsił uczestników pogrzebu czy opis „wzajemnej pomocy” sunącej przez most na Odrze do sąsiadów Czechów balansują między dramatem a śmiesznością. Opis codzienności i zdarzeń już historycznych uwierzytelniają przywoływane rekwizyty - luksusowe opakowania po pall mallach czy gitanesach zbierane na kolejowym nasypie, nazwiska kolarzy czy tytuły dostępnych wówczas tytułów gazet naszych sąsiadów, a także autentycznych zdarzeń jak płonąca żywa pochodnia protestu Jana Palacha. Z opisów wynurza się też psychologiczna i socjologiczna prawda o świecie, w którym dojrzewało pokolenie autora i on sam.



„Słubice” na tle całości „Stanów nagłych” to Arkadia. Nad całością tomu unosi się zagrożenie i gęstniejący cień śmierci.

„Słubice” na tle całości „Stanów nagłych” to Arkadia. Nad całością tomu unosi się zagrożenie i gęstniejący cień śmierci. Świadomość upływu czasu i przemijania prowokuje autora, podrzuca obrazy śmierci - kolegi, niebieskiej, matki i ojca, Palacha, Kosińskiego wreszcie własnej - „Zidentyfikuj mnie”, „Ostatnia modlitwa” po „***pytasz czy chcę aby to stało się w domu”. To nie tylko stany nagłe, to stany obsesyjne wywoływane tęsknotą za minionym, na przykład „Zaproś mnie” oraz świadomością zbliżania się do końca ziemskiej drogi, bo tylko tak można uwolnić się z pułapki czasu.

Z właściwą sobie łobuzerią gorliwego obserwatora i czułego kochanka opisuje swój świat od ironicznej Arkadii do pełnej goryczy wizji szpitalnego uwięzienia, z którego „nie ma... gdzie odlecieć / od kiedy kraty z koszul rzuciły się na okna”. Jest to wewnętrzny świat poety nieprzystającego do świata rzeczywistego, reagującego czule i boleśnie na jego szaleństwo, zło i nieszczęścia, nie unikającego w opisie słów budzących absmak.

Znam wiele tomików, których autorzy zapytani, o czym one są, dopiero zaczynają zastanawiać się nad odpowiedzią. Fryckowski wie przed postawieniem pierwszego znaku. Jemu o coś chodzi i ma coś do powiedzenia. Nie godzi się ze zjawiskami beznadziejnej egzystencji „Kobiety o niebieskich palcach” i „Kobiety w zielonym dresie”. Identyfikuje się z odrzucenymi, bierze ich w opiekę, bo tak nakazuje mu miłość, bez której jest „jak Chrystus oderwany od krzyża”. U Fryckowskiego nie ma taniej metafizyki ani taniego boguożyźnianego patriotyzmu. Wybiera trudną miłość do Polski, która go nie głaszcze i do człowieka, głównie tego usytuowanego z dala od świecznika. To przecież Fryckowski, choć w imieniu Broniewskiego, pisze do Bieruta: „Towarzyszu prezydencie zgodnie z wytycznymi / siadam do zadania domowego // I za każdym razem / nowy hymn zaczynam od słów / Jeszcze Polska”. Rani go poczucie bezsensu ofiary Inki czy Hanki Sawickiej. Prześmiewczo ciepły obraz Polski jest wciąż obecny w tej liryce i niemal każdy wiersz domalowuje jakiś szczegół. Jako Polak i obywatel buntuje się przeciw temu, że „nieuki niedorozwiniętej czwartej RP / z sobie tylko wiadomych powodów / uważają, że ciosy gestapo mniej bołały Żydów i komunistów”, również przeciw instrumentalnemu traktowaniu nauk Jana Pawła II. Bardzo osobiście reaguje na kolejne transporty ofiar katastrofy smoleńskiej: „po 30 latach małżeństwa / nieśmiało chwyta się za rękę / a słowo - kocham - / czeka na kolejny transport / też już w nas nie ma / jest tylko biel i amarant”.

Tak wyrażona miłość do kobiety to chyba nowość u Fryckowskiego. Nie znam wszystkich jego tomów, lecz przyzwyczaił czytelników, że miłość w jego poezji ma zwykle wyraz żarliwy, gwałtowny, dramatyczny, czasem nawet teatralny. Kobiety to lubią, ja (pewnie jestem mniej kobieca niż

inne) niekoniecznie. Prawdziwsza, bardziej przekonująca jest dla mnie ta wyrażana dyskretnym gestem i szeptem, właśnie jak w jego wierszu „Konspiracja”. W „Erotyku kuchennym” miłość też jakoś bardziej udomowiona.

Dominującą formą zastosowaną w tym zbiorze jest listy to nie tylko w cyklu „Listy z ciepłych krajów”. Najczęściej pisany w imieniu własnym, czasem w imieniu podmiotu lirycznego. Są też pisane w imieniu postaci znanych - patrz trzy listy Broniewskiego: wyżej przywołany do Bieruta, do Wandy Sz. oraz do córki - świetne w swym dramatyzmie.

Poeta przemawia głównie obrazami zaprawionymi często goryczą lub specyficzną ironią, zderza je ze sobą uzyskując dodatkową informację o złożoności świata i zjawisk. Swobodnie postępuje się wierszem wolnym i rytmicznym, nienachlanie rymowanym. Stosuje język codzienności, nie unikając słów dosadnych. Natrafiłam niestety na zgrzyt. Kurczę się i protestuję we mnie wszystko na dźwięk nazwiska Julia Capulet. Brzmi gorzej jak Mickiewicz Adam. Napisał Anglik, więc ang. Juliet Capulet jest jakoś uprawnione, ale nazwisko jest włoskie, więc Julia Capuleti i zaraz słyszymy piękny dźwięk.

Od pierwszych dni zdystansowanej, trwającej już prawie dziesięć lat znajomości z Jerzym Fryckowskim, dla mnie Fryckiem, dostrzegam w nim ciekawą osobowość poetycką wrażliwego łobuza, mądrego wariata o umiarkowanym stopniu bezpiecznego szaleństwa, które przekłada się na dobrą poezję. Takich lubię. Wbrew ostrzeżeniu Tadeusza Buraczewskiego na okładce - polecam, bo to „doludzka”, nie na koturnach, ciekawa poezja.

Zofia Grabowska-Andrijew, Chodzież

Jerzy Fryckowski: „Stany nagłe”, Wydawnictwo JASNE Pruszczyk Gdański 2017, s. 95.

Obszary wrażliwości



Pobiegła szybko do domu, podzielić się niedobrym widokiem z mamą. Usłyszała, że ma odrabiać lekcje, a od udzielania pomocy są inni. Lokator „spod piątki” zamarzył na schodach. Lekarz pogotowia stwierdził zgon...

Drzwi

Wchodzimy przez nie i wychodzimy. Nie zastanawiamy się nawet, ile razy dziennie. Chronią wnętrza budynków, pokoi, schowków i pakamer. Są bramami katedr, wrotami zamków i pałaców. Bez nich trudno wyobrazić sobie funkcjonowanie ludzkich siedzib. W tej, zrewitalizowanej, stuletniej kamienicy wyglądały imponująco. Choć nie były specjalnie bogato zdobione ani pokryte specjalną politurą, to jednak ich wygląd wciąż zastanawiał starszego człowieka. Nad nimi były niewielkie szybki, przez które zaglądały nikłe promienie słoneczne. Mężczyzna pamiętał ich narodziny, kiedy demontowano stare, rozlatujące się, prawdopodobnie jeszcze przedwojenne. Wtedy urodził mu się syn i przeprowadzał go przez wrota nowych nadziei. Aby sprostać temu, do czego służyły, posiadały również zamykacz i domofon. Ale niektórym to przeszkadzało. Chętnie zastawialiby niszę przysłowiowym snopkiem stomy. Irytowało to starszego człowieka. Wielokrotnie w rozmowach z lokatorami dawał upust swoim

spostreżeniom. Kamienica po liftingu wyglądała na wiele młodszą niż wskazywała na to jej metryka. Starszy człowiek zachwycał się elewacją i kunsztem misternych gzymsów. Ubolewał, że inni ich nie widzą. Związany był z nią całe życie. Tu się urodził, spędził dzieciństwo, młodość, poznał swoją małżonkę. Byli szczęśliwi „pod piątką”, lecz później przyszło najgorsze: śmierć żony, wypadek syna, wieloletnia rehabilitacja i znów śmierć - samobójcza. Starszy człowiek miał to wypisane na twarzy.

Pewnego dnia domofon stracił swoją funkcję, wpuszczał bez cenzury każdego. Bezradny zamykacz ze zdwojoną siłą domykał drzwi kamienicy. Czuł się osamotniony. Jego żal za domofonem słychać było nawet na trzecim piętrze. To jednak zdawało się nikogo nie obchodzić. Tylko starszy mężczyzna cierpiał. Jakby słyszał echo zbliżającego się wojennego frontu, odgłos dział ziejących ogniem, łoskot strasznej burzy, która zrywa słomiane dachy chałup, trzask łamanych starych drzew nad zakolem rzeki.

Minął jeden dzień, drugi. Zniesmaczony zaszedł do administracji osiedla. Tam dowiedział się, że interwencja nastąpi



niebawem. Czyli - myślał - prawie natychmiast, w najgorszym wypadku jutro, pojutrze. Ale nie nadchodziła. Czekał kolejne dni. Gdy poszedł po raz drugi dowiedział się, dlaczego Karol z „M jak miłość” nie kocha już Moniki i dlaczego torba z jednego sklepu jest lepsza od torby z innego. Uplynęły kolejne dni. Rozpacz zamykacza nasilała się. W końcu założył kombinizon, wzięt drabinę, śrubokręt i kilka kluczy. Kiedy miał już przykręcić poluzowane ramię, ktoś z wielkopańskim gestem chwycił za klamkę i ramię odskoczyło, uderzając go w klatkę piersiową. Mężczyzna osunął się z drabiny i zastygł na stopniu schodów. Głupie drzwi otwierały się teraz bez zastanowienia, lecz nie zamykały. Wiatr przez szparę wdmuchiwał śnieg do środka. Lokatorzy psoczyli na rozstawioną drabinę, ale nikomu nie przyszło do głowy zainteresować się losem skulonego starca. Dziewczynka, której dawał cukierki, wracając ze szkoły przystanęła na chwilę. Pobiegła szybko do domu, podzielić się niedobrym widokiem z mamą. Usłyszała, że ma odrabiać lekcje, a od udzielania pomocy są inni. Lokator „spod piątki” zamarzył na schodach. Lekarz pogotowia stwierdził zgon i złożył rozstawioną drabinę. Po kilku daniach drzwi znowu użyły.

Bar

Niewielki, znanej w mieście sieci tradycyjnej polskiej kuchni, na godzinę przed zamknięciem zazwyczaj świecił pustkami. Czasem wpadał ktoś na flaczki lub zbitkani podróżni zatrzymywali się na spóźniony obiad. Miałem wtedy czas, by pomóc żonie w zmywaniu naczyń i umyciu podłogi. Ten wieczór był jednak inny. Na początku go nie zauważyłem. Wszedł prawie niezauważalnie i ledwie słyszalnym głosem powiedział: - Dzień dobry! Gdyby nie kątownicy, które taszczył z Castoramy, pomyślałbym, że jest zjawą, sennym mamidłem. Położył je na podłodze, tuż obok stołu, przy którym usiadł. Zamówił supę jarzynową. Ot, zwykły klient - jakich wielu. Nagle sielską atmosferę zburzyła trójka troglodytów. Wyglądali jak trolle ze skandynawskich baśni. Reprezentowali znaną w mieście firmę robót drogowych. Prawdę mówiąc, sposobem zachowania tylko się do tego nadawali. Samotny człowiek nie przypaść im do gustu. Naśmiewali się z niego i szydzili. Jeden celowo nadepnął na delikatne kątownicy. Mężczyzna wstał i zaczął je prostować, bez słowa skargi. Widząc jego zakłopotanie, podszedłem i zaproponowałem położenie ich w innym miejscu - z daleka od brutalnych stóp trolli odzianych w gumowce. Reakcja tych ostatnich była adekwatna do ich wyglądu. Jeden kazał mi się odpieprzyć. Zwróciłem mu uwagę. To wyzwoliło chamskość całej trójki. Kiedy na ladę podano kopytka w sosie, mężczyzna wstał i odebrał swoje danie. Po chwili na ladzie baru wylądowały dania troglodytów... Mężczyzna siedział nieruchomo, wpatrując się w jedzenie. Po chwili zrobił coś nieoczekiwane. Przeżegnał się i zmówił krótką modlitwę. Troglodyci zamarli. Kompletnie się pogubili. Ich miny mogłyby służyć do niejednej głupawej reklamy. Patrzyłem na mężczyznę pełen podziwu. Był w średnim wieku. Po skończonym posiłku, odniósł talerze do okienka. Podszedł do lady i podziękował. Podniósł kątownicy, odprowadzany moim i troglodytów spojrzeniem, powiedział na odchodne: Szczęść Boże temu miejscu! I zniknął równie zagadkowo, jak się pojawił.

Bogdan

Ostatnio pił coraz więcej i spalał trzydzieści papierosów. Aparat w lewym uchu nie zawsze spełniał swoją rolę. Był śmieszny z ciągłym dopytywaniem się. Po ostatnim udarze nie mógł się pogodzić z losem. Cierpiał, że kierownica, za którą spędził setki godzin, nie jest już dla niego. Że nie odpali już motoru, nie uchyli okna szoferki, nie wrzuci biegu i nie pogna w nieznaną. Bo każda jazda ciągnikiem siodłowym z naczepą była wielką niewiadomą. Czy zdąży na czas załadować naczepę? Czy nie zamkną mu bramy docelowego składowania

towaru i będzie musiał czekać dwa dni na przyzakładowym parkingu? A może na dodatek złapie gumę? Będzie potem gnął nie zważając na tachograf? Największą niewiadomą była trasa na wschód. Opowiadał, że zawsze lubił język rosyjski. W podstawówce i później nie miał z nim problemu. Ale przez trasy na wschód przestał go lubić. Choć nadal lubi słuchać Bułata Okudżawę, Wysockiego... Wolał krajowe trasy, bo czuł się na nich pewniej. Częściej był z rodziną. Wcześniej wyrzucał sobie, że za mało czasu poświęca wychowaniu synów. Nawet nie zauważył kiedy dorosli, a jego niepracująca żona znalazła sobie inny obiekt miłosnych westchnień. Był to prawdziwy cios w serce. Wtedy pewnie pierwszy raz zamarł na dnie butelki. Próbował poznać inną kobietę, ale nic nie wychodziło z nowych znajomości. Wracał targany wątpliwościami. Godził się na nieobecność żony. Po powrocie z trasy znowu zaczął sięgać po piwo i szybko trzeźwiał, by rano ponownie odpalić motor ciężarówką. Gryzł paznokcie, palił podły tytoń i jechał przed siebie. Toksyczna miłość nie zdrowiała. Dla poprawy relacji upodlał się coraz bardziej. Przywoził dla zidiociątej teściowej porcelanowe laleczki, by zyskać przychyłność żony. Na próżno. Synowie dorastali i brali stronę matki. Dopiero, kiedy założyli własne rodziny, zrozumieli co przechodził ich ojciec. Sąsiedzi szeptali, a on wbijał wzrok w chodnik. Brał dłuższe trasy, spał w samochodzie. Z latami stawał się samotnikiem, wilczym driverem. Wyblakłym strzępem człowieka z cienistą cerą. Mimo tego gdzieś głęboko żarzyła się jeszcze iskierka nadziei.

Kiedyś, żaląc się na swój los poprosił, aby na jego pogrzebie zagrano „Goodbye, May love, Goodbye” Demisa Rousosa. Uznałem to za fanaberię. On jednak o tym wielokrotnie przypominał. Kiedy stałem nad jego ciałem podłączonym do respiratora, jedna myśl kołatała się we mnie. Nie wiem, czy mnie słyszał. Powiedziałem, że pamiętam. W przeddzień pogrzebu zajrzałem do internetu i odnalazłem znaczenie słów. Wciąż ją kochał. Wciąż była jego Dulcyneą. Dziś na jego grobie leżą świeże kwiaty.

Posel

Poznałem go w jego biurze. Od razu wzbudził moją sympatię. Był ciepły, przyjacielski. Zapytany na spotkaniu, dlaczego tak mało widać go podczas obrad sejmu, uśmiechnął się tylko. Ciepłym głosem oznajmił, że nie sztuka być medialnym. Najważniejszą pracą wykonuje się, kontaktując z wyborcami. Oni są motorem każdego działania! Dają impuls przedsięwzięciom. Zawsze najważniejszy dla niego był człowiek. Powtarzał: - Wszystkiego można się nauczyć, tylko nie człowieczeństwa. Stowarzyszenie, w którym działałem nie miało pieniędzy na działalność. Bez zastanowienia wyciągał kilka banknotów. Powiedział: - Biercie i róbcie. Widzę w was potencjał! Powstało koto młodych. Potem była podróż do Gdańska, na kongres w historycznej sali Solidarności. W autokarze usiadł obok mnie. W pewnym momencie oznajmił, że wysunął moją kandydaturę do Sejmiku Pomorskiego. Zamurowało mnie. Odpowiedziałem: - Nikt mnie nie zna. Odparł wtedy: - Ja znam! Jesteś wiarygodny. Gdy przegrałem wybory, dostrzegł moje zakłopotanie. - Wiarygodności się nie traci. Można stracić wyborców, pieniądze, dom, przyjaciół, ale nigdy wiarygodność! - pocieszał. Często rozmawialiśmy przez telefon. Zawsze kończył rozmowę pozdrowieniami dla mojej żony i córeczki. Zawsze pamiętał o moich najbliższych. Zawsze rozpoznawał mój głos w telefonie. Dziś wiem, że był dla mnie jak prawdziwy przyjaciel. Pierwszego listopada przy skromnym grobie na starym cmentarzu spotkałem jego żonę i córkę. Widziałem w oczach pani Ewy łzy. Podszedłem, i choć nie powiedziałem nic szczególnego, słowa, jakie wydusiłem z siebie, załatwiły wiele.

Dziękuję Ci za tę znajomość, przyjacielu!

Czesław Kowalczyk, Słupsk

Wadzieja kończy się ostatnia

- Jestem z Polski, pomóżcie mi! - Odwrócił się do ludzi stojących w kolejce za nim.
- O co jej chodzi do cholery. Nic nie rozumiem! - Spanikowany, błagalnym wzrokiem szukał wsparcia u innych pasażerów. Ktoś się wreszcie zlitował i szybko przetłumaczył

Luty 2015 r., godz. 18.30

Lotnisko Luton przeraża swym ogromem - zwłaszcza ludzi takich jak on. Przyjeżdżających z prowincji. Widział przed sobą tylko ciąg długich pasaży, z dziwnie brzmiącymi nazwami. W którą stronę iść? W dodatku te sensacje żołądkowe - to chyba ze stresu?

Boże! Przecież nie znał nawet jednego słowa po angielsku. Wyciągnął słownik i gorączkowo szukał objaśnień tablic kierunkowych.

- Hello, passport please! Do you understand? - popatrzył zdziwiony na czarnoskórą urzędniczkę w mundurze. Nie rozumiał co do niego mówiła! W panice więc, łapaną angielszczyzną zakomunikował, że nie zna języka:

- No english, i`m Polish - próbował tłumaczyć swoją obecność. Mocno zdenerwowana pani w uniformie angielskich służb granicznych, zaczęła coś gestykulować i wskazywać mu miejsce - dokąd powinien się udać. W dalszym ciągu nie rozumiał, co ta Murzynka od niego chciała. W pośpiechu kartkował słownik...

- I need... help... - ratował sytuację, cedząc bardzo powoli słowa.

- Jestem z Polski, pomóżcie mi! - Odwrócił się do ludzi stojących w kolejce za nim. - O co jej chodzi do cholery. Nic nie rozumiem! - Spanikowany, błagalnym wzrokiem szukał wsparcia u innych pasażerów. Ktoś się wreszcie zlitował i szybko przetłumaczył.

- Ona mówi, żebyś przeszedł do kolejki po prawej stronie. Będiesz rewidowany - blondynka o miłej aparycji, tak około trzydziestki, postanowiła mu pomóc.

Ogarnęła go panika. Co to znaczy? Jest o coś podejrzany? Może chcą go zatrzymać w areszcie?

- Słuchaj, oni tak standardowo na wrywki sprawdzają. A może jesteś terrorystą? - dziewczynę wyraźnie ta sytuacja bawiła. Toteż pozwoliła sobie na żart. Rewizja przebiegła szybko i sprawnie, niestety wagon papierosów poszedł na stracenie. Chciał się nawet kłócić, - ale jak, z kim i o co?

Przeszedł za bramkę i zobaczył tabliczkę z namalowanym papierosem. Na szczęście w dobie piktogramów rozumiał, że tu może zapalić. I - niespodzianka: niedawno poznana znajoma stała oparta o parapet i z gracją paliła papierosa. Teraz kiedy opadły emocje po przejściu przez służby graniczne - mógł uważnie przyjrzeć się otaczającemu go światu i ludziom. Dziewczyna robiła wrażenie: elegancka, w wąskiej spódniczce przed kolana - fachowo ocenił figurę - no, no: całkiem niezłe nogi!

Podobała mu się coraz bardziej. Spojrzył na dłonie. Zadbane hybrydowe paznokcie, twarz o klasycznych rysach i ponętne usta. No, a włosy o kolorze pszenicznych łanów - lekko upięte w kok. Całość - mógł ją teraz zlustrować na spokojnie - piorunująca!

Postanowił jej teraz podziękować za pomoc:

- Jakie dobre Bogi zesłały mi tu taką piękność. Na tej nieprzyjaznej angielskiej ziemi trudno o pomoc - starał się wznieść na wyżyny krasomówstwa. Nie zdążyłem się

przedstawić. Wcześniej w trudnej dla mnie językowo sytuacji było to prawie niemożliwe.

- Czesiek, jestem Czesiek - a właściwie to Krzysiek, ale wszyscy mówią Czesiek, więc tak zostało. - Uratowałaś mi tyłek. W ogóle nie kumałem o co tej dziwnej babie chodziło! - Ciągłe to on mówił, a ona słuchała. Zrobiła mu miejsce przy popielniczce. Wreszcie, kiedy dał jej dojść do słowa odezwała się:



- Jowita z Londynu. - Mieszkam tu od kilku lat i żał mi się ciebie zrobiło. Przecież ci Angole by cię tam zapuszkowali. Słuchaj, nie wiem co ty tu robisz, ani jak masz zamiar się tu odnaleźć z tą swoją - pożał się Boże - znajomością języka? - bezceremonialnie zapytała. Mam jednak nadzieję, że zaraz ktoś tu się po ciebie pojawi! Rozumiem, że przyjechałeś do znajomych na weekend?

Nie wiedział co jej odpowiedzieć. Nagle cała jego pewność siebie zachwiała się. No tak! Przecież ona starała się być grzeczna. Jego pocerowana kurtka, wytarte jeansy, zniszczone buty: mówiły same za siebie. Nie wyglądał na turystę. Tym bardziej na biznesmena! Dalsza konwersacja zaczynała być męcząca dla obojga. Rodaczka, najwyraźniej nie była już zainteresowana podtrzymaniem tej przypadkowej znajomości. Po kurtuazyjnej wymianie zdań - życzyła mu powodzenia na obcej ziemi. W swej łaskawości pozwoliła jednak zostawić sobie - jego numer telefonu.

- Pracuję w jednej z knajp na Piccadilly Circus. Jak będziesz ze znajomymi na obiedzie - zajdźcie. Mamy naprawdę dobre jedzenie! - Grzecznie, urwała rozmowę.

Tak się miała zakończyć cudowna, pierwsza znajomość na wyspiarskiej ziemi? Ratował jeszcze sytuację, mówiąc, że zaprosi ją niebawem na kolację. Zbytą to kurtuazyjnym uśmiechem.

Zresztą sytuacja stała się kłopotliwa, kiedy w holu lotniska pojawił się przystojny mężczyzna. Jasna koszula od Armaniego, buty od Johna Lobba. Całości dopełniał zegarek na rękę. Przyjrzał się uważnie. Maurice Lacroix - oceniał, fachowym okiem. Kiedyś jeszcze w lepszych czasach, przy mierzał się do kupna chociażby dobrego zegarka. Wszystko z najwyższej półki. Facet czule przywitał się z blondynką. Nienaganny angielski - wskazywał na pochodzenie wyspiarskie. Odchodząc odwróciła się na chwilę i jeszcze rzuciła mu wymowne spojrzenie.

Ta historia miała go nauczyć pokory! Zetknięcie z rzeczywistością Albionu, było bolesne!



Dwa miesiące wcześniej - Grudzień 2015 r., sobota, wieczorem.

Od początku roku starał się skontaktować z kimkolwiek za granicą. Musiał uciekać z kraju. Przed komornikiem, żoną, długami, ale i przed brakiem perspektyw. Kiedy rozmawiał z Robertem o możliwości wyjazdu do Anglii, długo przekonywał dawnego przyjaciela, by mu pomógł. Kumpel nie od razu dał odpowiedź! Nikt nie chciał brać na siebie czyichś problemów. A takim był właśnie jego przyjazd. Ostatecznie uzgodnili, że może się pojawić, ale ze strony kolegi będzie to tylko minimum pomocy: ciepły kąpiel przez kilka dni, jedzenie i może jakieś robotki na początek.

Rozmowę telefoniczną zaczął bez ceremonii:

- Robert, potrzebuję roboty. Każdej i za każde pieniądze! Jestem w beznadziejnym dotku. Nie mogę wybrzydzać! Wezmę wszystko, pozwól mi tylko przyjechać!

Stary przyjaciel z fabryki milczał. W ostatnim czasie otrzymywał takich telefonów - po kilka w tygodniu. Chwilę się zastanawiał, rozważał - następny koleś, któremu się w życiu nie poukladało - pomyślał.

- No dobra, przyjeżdżaj. Coś tam znajdziemy. Tylko nie licz na kokosy! - w słuchawce słychać było głośne westchnięcie. - Na początek kawałek symbolicznej podłogi i poszukamy

byle jakiej roboty. Przecież ty tak naprawdę nic nie potrafisz! - Robert nie był zadowolony, że znowu będzie musiał matkować, karmić, nocować i szukać roboty.

Kłopot tylko z nimi, a czasami nawet dziękuję nie powiedzą. Już kilku się przewinęło. Narażał tylko swoje dobre imię:

- Tobie jednak pomogę z uwagi na... starą znajomość. Pakuj manatki i przyjeżdżaj. Wyjadę po ciebie na dworzec. Pierwsze dni będziesz u mnie, a potem się zobaczy.

Czekał na Roberta już ponad godzinę. Niecierpliwiał się nie nażarty. Patrolujący dworzec policjanci kolejny raz spoglądali w jego stronę podejrzliwie. Kończyły mu się drobne na telefon. Wykręcał numer, który dostał od kolegi jeszcze w Polsce. W słuchawce uparcie jakiś męski głos mówił coś po angielsku, a potem długi przeciągły sygnał - dawał do zrozumienia, że połączenia nie ma. Zaczynało go to wszystko irytować. Właściwie to już się bał...

Dlaczego w ogóle wyjeżdża? Wspomnienia ostatnich dni przed wyjazdem przypominały o dreszcz emocji...

Ranek obudził ich słońcem wkradającym się przez śmielej w okno sypialni. Na zasłonach wiosenne promienie wyświetlały radosną iluminację. Cicho, na palcach przeszedł w stronę okna. Widok ogrodu nasyconego wszystkimi odcieniami wiosennej zieleni przyprawiał o obłąd. Odwrócił się w stronę drzwi. Leżała ledwie przykryta. Rozchylone usta kusiły do pocałunku. Odstąpił rąbek kołdry, by jeszcze ostatni raz utrwalić sobie w pamięci zarys jej ciała. Jasność brzasku odbijała się w magiczny sposób od jej skóry.

Pora odejść. Jeszcze wczoraj rano nie myślał o tym co musi się stać...

Krzętały się po kuchni. Kiedy poruszała się w zwiewnym radosnym tańcu po jadalni - jej krótka, ledwie ponad kolana podomka uniosta się kusząco. Zgrabne uda uwodziły wzrok. Znowu wyobraźnia działała. Podszedł do niej i czule objął ją w pasie. Nie opierała się. Delikatny dreszcz przeszedł całe jej ciało. Odwróciła się w jego stronę siadając na kuchennym blacie. Odgarnął jej włosy z czoła. Niebieskie oczy patrzyły z zaufaniem i miłością. Nie mógł jej skrzywdzić. Nie chciał! Aksamitna skóra pod dotknięciem jego języka reagowała w wrażliwych sferach. Szyja poddana pieścizotom przechylała się to w jedną, to w drugą stronę. Poszukał jej ust. Jej piękne i pełne wargi namiętnie rozchyliły się do pocałunku...

Coraz częściej depresyjne myśli nawiedzały go w długie bezsenne noce. Kiedy wracał do domu po drugiej zmianie, leżał na wystużonej wersalce i wpatrzony w sufit przypominał sobie awantury. A urządziła mu je, już prawie każdego dnia:

- Zawiodłeś mnie, zmarnowałam przy tobie swoje najlepsze lata - słowa żony chłostały bezlitośnie. - Nie tak miało wyglądać nasze życie. Obiecywałeś mi złote góry i na nic miało nam nie zabraknąć! - Po takich wyrzutach przestawał czuć się prawdziwym facetem.

- Wypier...aj stąd! -- Kolejna kłótnia wisiła na włosku. Bardzo łatwo ją było zresztą ostatnio wyprowadzić z równowagi. Zwłaszcza wtedy gdy już nie było pieniędzy.

Zawsze cierpliwie znosił wszelkie obelgi. Nie miał zwyczaju protestować. Może z poczucia winy?

Kiedy dochodziło do sytuacji kryzysowych była bezwzględna. Oceniając jego osobę i najbliższą mu rodzinę - nie przebierała w słowach! Nie mógł sobie z tym poradzić. Dawno zniknęło ich wielkie, namiętne uczucie. W gąszczu rosnących potrzeb, ale i wydatków zapominali całkiem o pielęgnowaniu własnego związku. Zastąpić to miały wieczne wyjścia na dyskoteki i balangi do białego rana. A potem seks: długi i namiętny. Dla niej położył na szali wszystkie znajomości.

A potem stopniowo „palił za sobą mosty”. Rodzina i znajomi płacili za niego ostatnie pieniądze w bankach.

- Byłem wczoraj u rodziców. Nie są w stanie mi już nic więcej pożyczyć. Nie mają oszczędności - pętla zadłużeń zaciskała się wokół jego najbliższych.

Mała Marysia w swoim autystycznym świecie - zamykała się w kręgu bajek telewizyjnych i mogła tak spędzać całe godziny. Gorzej było z Martą, była już starsza i nie dało jej się tak łatwo oszukać.

- Jeśli czegoś z tym nie zrobisz to nie licz na to, że będziesz tu mieszkał. - Wiedziała, że kocha swoje dzieci bezgranicznie - dlatego często wykorzystywała ten argument.

- Nie myśl sobie, że będziesz widywał nasze córki. Na to trzeba zasłużyć! - w momentach kłótni szantażowała go emocjonalnie.

Starsze dziecko, leżąc za ścianą słyszało te wyrzuty i bało się strasznie - bo tata wciąż milczał. A potem było tylko trzaśnięcie drzwiami i wybiegął z domu. Chodził wtedy po mieście, myślał szukał rozwiązania.

Już podjął decyzję! Wiedział, że musi to zrobić. Zdawał sobie sprawę, że nie ma innego wyjścia. Obdzwaniał kolegów, odnawiał kontakty - tam gdzie się jeszcze dało. Myśl o wyjeździe kiełkowała w nim od dawna, wreszcie sytuacja dojrzała do ostatecznego rozwiązania.

Ich rozmowa nie była łatwa. Wtuleni w siebie na przystanku szepotali czule:

- Kocham cię i proszę, zaklinam - patrzyła na niego i widział rozpacz w jej oczach. - Jeśli dzisiaj wyjedziesz, wiem że nie wrócisz. Stamtąd już nie ma powrotu.

- To jest ważne dla mnie samego. Zmieni moją perspektywę patrzenia na życie. Jeśli tego nie zrobię, to za jakiś czas nie będziesz ze mną. Jestem tego pewien! - Determinacja z jaką to mówił, przeraziła jego samego.

- Nie wiem, dlaczego tak surowo mnie oceniasz. Kocham cię, i ważne że jesteś. Dla mnie istotne jest tu i teraz! - krzyknęła i wyrwała się z jego silnych ramion. - Nie chcę tego więcej roztrząsać. Dlaczego mówisz i decydujesz za mnie? Kto ci dał prawo do niszczenia naszej miłości?

Jak jej wytłumaczyć, że kobieta taka jak ona zasługuje na kogoś lepszego? Kocha ją nad życie i dziękuje Bogu za ten dzień kiedy się poznali. Jego wątpliwości - były silniejsze niż pewność, że ona będzie z nim także wtedy, gdy trzeba będzie stanąć twarzą w twarz z wszystkimi - z finansowymi problemami...

Z rozmyślań wyrwał go znajomy głos kolegi. Robert? Ile to już lat? Obaj się zmienili. Kumpel nieco posiwiiał, przybrało mu się tu i ówdzie. A on sam przecież też nie prezentował się najfodziej! Z długich włosów związanych w kitek pozostało tylko wspomnienie. Łysina porzeczerała miejsca - na kształtnej - na szczęście głowie. Rzucili się sobie w objęcia.

- Długo musiały czekać? Straszne korki w tym Londynie. Wyjechałem o odpowiedniej porze, a jednak się nieco spóźniłem. Dobra, wsiadamy do auta i jedziemy do domu. Trzeba cię jakoś zainstalować! - zakomenderował Robert. Milczał i obserwował kolegę. Zazdrościł mu jego pewności siebie w tym olbrzymim i obcym wciąż dla niego mieście. Postanowił pochwalić się nową znajomością.

- Słuchaj, co prawda z moim angielskim nieco słabo, ale bajer się jeszcze ma - w kilku słowach opowiedział o tym, jak poznał nową dziewczynę, trochę tylko zmieniając



Fot. wikimedia.org

zakończenie opowieści. Nie będzie się przecież przyznawał - nawet przed dobrym kumplem - do męskiej porażki.

- Umówiła się ze mną na kawę, bo nie mogła się oprzeć mojemu urokowi - koloryzował i ubarwiał opowieść, dodając sobie animuszu przed przyjacielem. Tymczasem dojeżdżali powoli na miejsce. Robert sprawnie zaparkował przed jednym z szeregowców. A on wyskakując z auta ciągle jeszcze fantazjował o niedawno poznanej cud blondynce.

- I wiesz - mówię do niej... - Nie dokończył. Weszli do domu.

Powoli dochodził do siebie. Tragedia... Takiej imprezy nie zaliczył już dawno! Właściwie było wszystko: alkohol, dragi i inne świństwa. Nie był nowicjuszem. Próbował już w życiu różnych rzeczy. Ale tyle, co tej nocy, to nie wypił i nie najarał się jeszcze nigdy!

To prawda - okazja była ku temu szczególna. Jak zwykle przy takich spotkaniach, przyjazd rodaka wzbudza niekłamany entuzjazm. W dodatku wzmocniony dużą dawką używek - powodował wybuchy niekontrolowanej radości. Wciąż jeszcze słyszy śpiewane na swoją cześć „sto lat”, czy wielokrotnie zaczynany „Mazurek Dąbrowskiego”. Oczywiście swojska kiełbaska i polska wódeczka jeszcze bardziej pomagała przy zadzierzgnięciu braterskich więzi. Nie pamięta już jak się znalazł na podłodze, ani jak długo tam spał. Jedno jest pewne. Jego pierwszy dzień w Anglii nie zapowiada się najlepiej. Wszyscy dawno zwlekli się ze swoich łóżek i po porannej toalecie ruszyli do pracy. A on co? - Został sam!

Roberta już nie było. Na razie nie próbował do niego dzwonić. Rozejrzał się wokół. Chlew jaki tu zostawili wieczorem - zaczynał go drażnić. Postanowił chociaż trochę posprzątać. Przy okazji zjadł śniadanie. Jeśli można tak powiedzieć o resztkach jakie znosił ze stołu. Co tu robić? No tak! Przecież można pooglądać telewizję. Wziął do ręki pilota. Przejrzał kilka kanałów i niestety wszędzie ten koszmarne język! Nic po polsku?

Przypomniał sobie wczorajsze rozmowy przy stole. Mówili coś o polskiej dzielnicy i naszych rodzimych sklepach. Musi wyjść z domu i rozejrzeć się dookoła. A zresztą, jak ma się tu zaaklimatyzować nie próbując rozmawiać?

Przed domem czysto i schludnie. Ładnie tu!

Wzdłuż szeregowo ustawionych domów stały auta - czasem nawet bardzo drogie. Zgłodził. W oddali zobaczył szyld jakiegoś sklepu. - Dobra, przejdzie się, przy okazji spróbuje swój angielski. - Po akcji na lotnisku utwierdził się w

przekonaniu, że jest sobie w stanie poradzić w każdej sytuacji. Musiał tylko przejść przez park i na końcu ulicy widać było sklepik. Na ławeczce między drzewami siedzieli kilku nastolatków. W półmroku gęstych drzew parku widać było żarzące się ogniki papierosów. Nagle strasznie zachciało mu się palić. To kac tak potęgował pragnienie papierosów. Podchodząc do małolotów w ostatniej chwili zdał sobie sprawę, że nie poprosi ich o ogień ani fajki, bo nie zna języka. Ale było już za późno na sentymenty, tym bardziej, że towarzystwo zaczęło się głośno śmiać i prowokacyjnie dwóch małolotów zagroziło mu drogę, a kolejni znaleźli się nagle za jego plecami.

Miał chwilę na zastanowienie: uciekać czy próbować rozmawiać i negocjować? Ale jak? Po polsku?

Wyglądali na hindusów. Postanowił spróbować szczęścia. Może uda się porozmawiać na migi. Tak czy inaczej nie będzie tchórzył przed gówniażerą. Coś do niego mówili. Gestami próbował im wytłumaczyć, że nie wie o czym mówią.

Jeden z nich, szczególnie natrętny i dobrze zbudowany podszedł tak blisko niego, że nie miał już drogi odwrotu. Nie chciał dostać za nic w pysk, ale też nie myślał ustępować gnojom. Jedyne co zrozumiał z ich obcej mowy to, że chcą papierosa. W tej chwili był tak naładowany i wściekły, że nawet gdyby miał co zapalić, za nic by im go nie dał!

- Słuchaj, nie wiem o co wam chodzi. Nic do was nie mam. Jestem z Polski, nie rozumiem co do mnie mówicie - starał się im wytłumaczyć. W tej chwili nie miał już ochoty ani na papierosa, ani na jedzenie w sklepie - ani w ogóle na nic! Jedyne co mu przychodziło do głowy, to uciekać. Jak najdalej i jak najszybciej. Chciał się przedrzeć w stronę budynków. Może ktoś zauważy zamieszanie i powiadomi policję.

A oni - jakby wyczuwając jego strach - zaczęli coś do niego pokrzykiwać. Panika jaka go ogarnęła w tej chwili, była paraliżująca. Ze strachu nie mógł ruszyć ręką ani nogą. Napastnicy stawali się coraz bardziej agresywni. Jeden z nich z całą siłą popchnął go w stronę innego. Zaczęli się nim bawić, przerzucając jeden do drugiego. Próbował się wyrwać. Na próżno! Wtedy prowokator z grupy - najsilniejszy - dla wzmocnienia swoich słów wprowadził szybki i skuteczny cios. Upadł w jednej chwili.

Zawirowało mu w oczach. Próbował się bronić i przypominał sobie rady kumpli z dyskotek - by jak najszybciej okrywać głowę. Poderwał się, ale jeden z napastników podciął mu nogi i następne bardzo silne uderzenie - tym razem okutego blachami buta - wylądowało na głowie. Jeszcze ostatkiem sił ośnianał się. Najważniejsza jest głowa! Okrywaj ją rękoma - powtarzał sobie w myślach - zanim kolejne razy ciężkich „głanów” spadały na czaszkę i szczękę. Jak przez mgłę słyszał pokrzykiwania młodzieży! Zaczął szybko odmawiać „Zdrowaś Mario”, a potem wszystko odplynęło. Słodki smak krwi był ostatnim wrażeniem jakie zdążył zapamiętać.

Oddział Ratunkowy - St Roberts` Hospital w Londynie, był zatłoczony tego wieczoru nie bardziej niż zwykle.

- Podejrzanie pęknięcia podstawy czaszki, oraz tętniak w mózgu. - Lekarz dyżurny przejmujący przywiezionego właśnie przed chwilą pacjenta szybko przetwarzał otrzymane informacje. Natychmiast wydawał pielęgniarkę polecenia wykonania badań: - tomografia mózgu, EEG, - mimo wieloletniego doświadczenia odczuwał potworne zdenerwowanie. Zdawał sobie sprawę, że za kilka godzin rozegrają się tutaj wielkie ludzkie dramaty. Zoperowanie przywiezionego przed chwilą mężczyzny wymaga nie lada umiejętności od neurochirurga. Gdy musiał udzielić pierwszych informacji zrozpaczonemu rodzicom rodaka, o życie którego jego koledzy właśnie podjęli walkę - opanował łzy i apelował o modlitwę. - Wszystko w rękach Boga, wszystko w rękach Boga... - powtarzał trochę bezwiednie. - Niech państwo nie tracą nadziei. Ona kończy się gdy kończy się życie!

Pod drzwiami Bloku Operacyjnego panowała głucha cisza. Jak wiele może wytrzymać matka, kiedy mówią ci, że ta noc będzie decydująca? Modlisz się. Tysiące myśli przebiega przez głowę. Także te najgorsze. Na szczęście za chwilę przychodzi moment refleksji. Będzie dobrze. Musi być dobrze!

Mirostlaw Kowalczyk, Gardeja

Opowiadanie nadesłane na Pomorski Konkurs Literacki dla Nauczycieli - 2017, zorganizowany przez Pedagogiczną Bibliotekę Wojewódzką w Słupsku. (Z)

Do mojej koleżanki



W natłoku przedświątecznych porządków natrafiłem na oprawione i zachęcająco wyglądające dwa tomy dodatku do „Powiatu Słupskiego”- „Wieś Tworząca”. Przeglądając zbierane od jedenastu lat pismo doszedłem do wniosku, że to prawdziwa skarbnica moich (naszych) literackich wydań zawierająca rzetelne, profesjonalno amatorskie opinie

Odnalazłem tematy krytykowane lub wychwalane, mądre i te nie bardzo mądre, zbyt długie i krótkie. Zachwycają szczerością przemyśleń, ale i krytyczną zawziętością. Lecz ponad wszystko cenię sobie autobiograficzne wyznania, opowieści i wspomnienia, historie prawdziwe i te wydumane z przekonaniem, że trafią do właściwego czytelnika, który przecież nie zawsze musi być twórcą. W tej stercie słów, wersów i zwrotek odnajduję dzisiaj teksty moich ulubionych piszących. Nie chcąc narażać się co niektórym - nie wymienię oczywiście

nazwisk ani tytułów, bo mógłbym niechcący kogoś pominąć, skrzywdzić lub wynieść pod niebiosa niezastuzenie. Bom ani recenzent, ani krytyk.

Szczerze mówiąc, jestem szczęśliwy, że udało mi się zaistnieć przez te lata (jakże szybko minęły!) w drużynie twórców, wspólnych koleżanek i kolegów, działających pod „dowództwem” jedyne go drużynowego. A jednak jest powód, by złamać przyrzeczenie. W numerze 3 z 2007 roku odnalazłem tekst autorstwa Anny Karwowskiej pt. „Łzy same cisnęły się do oczu”. Jestem przekonany, że to jedno z najbardziej szczerych wyznań autorskich. Znając Annę jako cichą, skromną, piszącą wiersze koleżankę, nie przypuszczał-

bym, że za tym tekstem kryje się odważna, zdesperowana, gotowa na rozstrzelanie przez krytyków poetka, prezentująca swój pierwszy tomik wierszy. Został bardzo dobrze przyjęty, a wdzięczna autorka dziękuje, cyt.: „...wszystkim za radość, słońce, za deszcz.”

Ten wzruszający tekst jest poezją, gotowym wierszem obrazującym talent i umiejętności Anny. Potwierdziła to zresztą całą swoją dotychczasową twórczością, będącą odzwierciedleniem trudów i ciężarów codzienności, i - jak pisze



- „wierszy bez ozdobników i wstążek w kwiaty”. Co prawda niektórym nie przypadł do gustu poruszany przez nią nigdy nie wyczerpany temat biedy, pracy, smutku. Ja traktuję jednak

te wypowiedzi jak chwasty w większości pochlebnych opini.

Szukałem Anny Karwowskiej we wszystkich moich tomach antologii. Przeczytałem w związku z tym większość jej wierszy, podziwiając odwagę, wytrwałość upartą i smutną. Okazało się że Anna dopięła swego. Została wreszcie zauważona. Doceniono jej niecodzienną dojrzałość i piękną twórczość. Tytułem Jej wiersza „Świat idzie inną drogą” opatrzono trzynasty tom antologii poezji. Dostrzegł ją autor słowa wstępnego Jan Smalewski, cytując kilka wersów wierszy.

Nasza Anna stała się animatorką kultury, rozdającą swoje przeżycia w formie finezyjnej, dojrzałej twórczości. Teraz wygrała Konkurs Jednego Wiersza w Kobylnicy. Nie mogłem uczestniczyć w tej uroczystości. Z autopsji znam jednak to oczekiwanie na werdykt, drżenie głosu i wzruszenie. Gratuluję Annie zdobycia pierwszej nagrody i życzę wielu jeszcze nagród w następnych konkursach. Gdy spotkamy się na naszych „zjazdach” poetyckich, uśmiechniemy się do siebie, pozdrowimy i pogadamy zapewne wcale nie o poezji.

Andrzej Szczepanik
Bytów

Promocja tomiku „Lilia bez słońca”

30 stycznia, słupska poetka Barbara Sienkiewicz-Matusik promowała swoją najnowszą książką pt. „Lilia bez słońca”. Spotkanie z autorką odbyło się w Miejskiej Bibliotece Publicznej, poprowadziła je Barbara Jęchorek, a rozmawiał z poetką prof. AP Daniel Kalinowski. Muzycznie i wokalnie oprawili je Tadeusz Picz (fortepian) i Wiktoria Brych (śpiew)

poematu, podanym też wierszem, napisanie tych czterech tomów poezji, liczących tysiąc stron, zabrało jej pół życia.

Prezentacja „Lilii bez słońca” spotkała się z dużym zainteresowaniem. Do Czytelni Głównej w słupskiej bibliotece przyszło wiele osób, obecni byli też m.in. poeci z Grupy „Wtorkowe Spotkania Literackie”, działającej przy słupskim starostwie, z którą autorka współpracuje. Spotkanie swoją obecnością zaszczyliła prezydentka Słupska - Krystyna Danilecka-Wojewódzka. Fragmenty poematu prezentowała prowadząca spotkanie Barbara Jęchorek, prezentowała je też z podziałem na role grupa młodych poetów i sama autorka. Każdy z zainteresowanych mógł bezpłatnie otrzymać egzemplarz książki. (z)

„Lilia bez słońca” to kolejna książka Barbary Sienkiewicz-Matusik. Wcześniej ukazała się m.in. „Mitość i skarga”, a wraz z nią płyta z utworami do słów i muzyki autorki. Główną bohaterką najnowszej jest matka poetki, Helena, która w 42 roku życia opuściła swoje ukochane dzieci, w tym pozostawiając najmłodszą Barbarę, gdy miała siedem lat. Właśnie pamięci „mojej Mateńki Kochanej” poświęca Barbara Sienkiewicz-Matusik swoją najnowszą książkę. To pierwszy tom poematu, który docelowo będzie czteroczęściowy. W druku znajduje się już druga część „Złamana lilia”, skończona jest część trzecia „Lilia Mateńką” i napisany tom czwarty - „Portret z zaświatów”. Jest to poezja klasyczna, praktycznie nie mająca końca, największą jej wartością jest szczerść wypowiedzi i opisywanych ludzkich przeżyć. Jak zdradziła autorka w swoim słowie na końcu pierwszej części

